

Teofil Lenartowicz

POEZJE

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

UTWORY Z LAT 1841-1851	4
MOJE STRONY	4
TĘSKNOTA	6
WIERSZ DO POEZJI	8
KALINA	10
DUCH SIEROTY	11
JAN KOCHANOWSKI	12
SPOWIEDŹ W CYTADELI	14
CZEGO NAM POTRZEBA	23
POGRZEB MOSKALA	26
MAZUR [I]	28
LIRNIK Baśń	30
O GÓRALACH	32
SEN KRÓLA JANA	34
NA LIPE ŚLOWIAŃSKĄ	38
JAK TO NA MAZOWSZU	40
HUŁAN	43
NIEMCEWICZ, ŚLOWACKI, SZOPEN Piosnka	44
MOJA PIOSNKA	46
PRZYWITANIE	49
WYGNAŃCE DO NARODU Wiersz napisany w r. 1850 z powodu skłaniania do żądania amnestii	50
SOWIŃSKI	53
UTWORY Z LAT 1852-1860	57
DUMKA WYGNAŃCA	57
ZŁOTY KUBEK	58
NA WYJEZDNYM Z FONTAINEBLEAU	60
NA KOLUMNĘ WANDOMSKĄ W PARYŻU	62
WINCENTEMU POŁOWI Z Rzymu 24 kwietnia 1856	65
SUPER FLUMINA BABYLONIS	68
ŁZY	69
DO* [CYPRIANA NORWIDA]	70

WIERSZE Z LAT 1861-1970	71
PIELGRZYM ZE ZIEMI UCISKU	71
ŚPIEW NA CZEŚĆ 25 LUTEGO 1861 R. W WARSZAWIE	73
O KRAJU	75
O POWROCIE DO KRAJU (Odpowiedź na list)	76
UTWORY Z LAT 1871-1893	77
WIEŻA EIFFEL Wyjątek z poematu Mefisto	77
DWAJ TOWIAŃSZCZYCY (Adolf Rozwadowski i Ludwik Szwejcer)	84
PANI HELENIE MODRZEJEWSKIEJ	91
PUSTOTA	94
WDOWA	96
CZAJKA	97
OSTATNIE SŁOWO	99

UTWORY Z LAT 1841-1851

MOJE STRONY

Pola, gdzie żniwa w plony obfite
Stajami świecą, jak dojrzy okiem,
I łąki, wonnym kwieciami pokryte,
Wody, szumiące jasnym potokiem,
Słońce, co złotem gaje powleka,
Pełne uroku jak przyjaźń człeka:
Tam zeszedł błogo życia początek,
Tam jest mój luby rodzinny kątek.

Pod skrzydłem dębu, topoli piórem
Gromada ptasząt zaśpiewa chórem,
A w którą stronę wiatery powiewa,
Słodką melodię w ucho się wlewa.
Pod drzewem domek dziada, pradziadka,
Tam mnie na rękę nosiła matka;
Wszystko się sercu tak mile śmiało,
Wszystko, com kochał, tam się zostało.

Cieniste wierzby rosną nad strugiem,
Dźwięczny skowronek buja nad smugiem
I nad mogiły krzyżackie lata
Śpiewać mieszkańcom dawnego świata;
A krzyż przy drodze, ten stróż poległych,
Znak przyszłej w życiu zmiany szczęśliwej,
Słucha skowronka pieśni rzewliwej
O czasach dawnych, szybko ubiegłych.

Pomnę, wieczorem, z czeladzią razem,
Śląc w niebo modły za szczęście dzieci,
Ojciec przed świętym klękał obrazem.
Dziś przy kościółku leży pod głazem,
Cichy jak miesiąc, co mu tam świeci,
Zimny jak wichry, gdy na grób leci.

Co chwila nowy obraz się sunie,
Co chwila nowe wspomnienie bieży;
Wnet deszcz rześisty z oka wylunie,
Piorun przez usta słowem uderzy.

Lecz po co skargi, wspomnienia moje,
Przy was myśl smutna niech ma pogodę,
Płyńcie mi, dawnych pamiątek zdroje,
Z wami, wesołe, taniec zawiodę.

Jeszcze mazura usłyszę w dali,
Kiedy go szczerza dziatwa wywija,
Ujrzę, jak para parę omija,
Jak się w ich licach krew żywo pali.

Hej mi, dziewczyno hoża, urodna,
Z twarzą rumianą, kwiatkiem we włosach,
Gdy masz sierp jutro rzucić po kłosach,
Dzisiaj na tany pospiesz, swobodna!

Ale dziewczyna z dala ucieka
I czegoś płacze – na coś narzeka.
Jutro ją znajdziesz, jak blask poranny,
U stóp ołtarza Najświętszej Panny,
A za kochanka, co gdzieś tam żyje,
Wianek ofiarny Bogu uwije.

Dalej, wspomnienia moje rodzinne,
Dalej, piosenki ciche, niewinne,
Grajcie mi jeszcze przeszłość kochaną,
W kwiatki rozkoszy świetnie przybraną.

TEŃSKNOTA

Czy mnie matka porodziła
Pod nieszczęsną gwiazdą?
Czy mi wiedźma określiła
Rodzicielskie gniazdo?

Całe noce, dni i lata
Płacę bez ustanka,
Przyszły swaty, nie chcę swata,
Czekam swego Janka.

Oj! poleciał, oj! pogonił
Na polską wojenkę;
I ojczyzny nie obronił,
I rzucił dzieweńkę.

Sama kołacz piekłam w drogę
I szkaplerzyk dała;
Odjechał ci mnie niebogę,
Com go tak kochała.

Zima idzie, liść opada,
Nim sioła zacichną,
Nocą pucka na dach siada,
Woła: „Pódź, Marychno!”

Nim ja ujrę, nim zobaczę,
Kochaneczku, ciebie,
Pierw się matuś moja spłacze
Na moim pogrzebie.

Oj, przyszpilcie mi nad głową
Rozmarynu ziele,
Oj, zaplećcież mi różową
Wstążkę na wesele.

Zaśpiewajcie mi piosneczkę,
Moje siostry młode,
Pochowajcie swą dziewczeczkę,
Marychnę urodę.

A miłemu, jak zastuka
Do chaty matczynej,
To powiedzcie: niech nie szuka
Marysi jedynej.

Leży ona przy kościele,
Pod zimną mogiłą,
Świątą ziemię zielska wiele
Nad nią umaiło.

W polu cicho, wietrzyk szumi,
Co smutku, tęsknoty...
Ptaszek śpiewa tak, jak umié,
Lata motyl złoty.

WIERSZ DO POEZJI

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!
Nikt się nie oprze, gdyś jest walcząca,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukazesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwycą,
Uchwycą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsną w żyłastych prawicach,
Z krzykiem rozpaczy rzucą się w stronę,
Gdzie im ukazesz grody zniszczone –
Na których widok zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdziesz w szacie anioła
I wieniec chwały włożysz na skronie –
Zwycięstwo będziesz śpiewać przy zgonie
I śmierć mu przyjdzie wesoła.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód lodów,
Ty jedna cudem ludy ocalasz,
Niezwyciężone tłumy obalasz –
Poezjo! Matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bólach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata
Do boskich krain weselnych.

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłódów,
Za życie męczarń – światłość bez końca
Ukażesz z dala w promieniach słońca,
Poezjo! Wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi,
Dzikiej niezgody zgasną płomienie –
Na twej czarownej palmy skinienie
Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki,
W imieniu twoim serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy.
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
Poezjo – prawdo narodów!

KALINA

Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kapała,
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode
I jak w lusterko patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie,
I śpiewał sobie: dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I jak dziewczyna w gaju czekała,
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę.
Z żalu straciła swoją urodę.

DUCH SIEROTY

Idzie sobie pacholę
Przez zagony, przez pole:
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie, a śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy
I ozwie się w te słowa:
– Taka bieda na dworze,
A ty śpiewasz, nieboże?
– Oj, długo ja płakała,
Gdy mię nędza wyгнаła,
Gdy ja, biedna sierota,
Drżąca stała u płota;
Aż raz w nocy niedzielnej
Przy dzwonnicy kościelnej
Mróz wszelakie czucie ściął
I Pan Jezus duszę wziął:
Jedna zimna mogiła
Moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował,
On mnie ubrał w sukienki
Do tej zimnej trumienki;
Teraz nic mi nie trzeba,
Idę sobie do nieba.

– O sieroto! o dziecię!
Nic ci nie żal na świecie?

– Żal mi jeno tej łąki,
Gdzie fijołki i dzwonki;
Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki wierzbowej
Znad zielonej dąbrowy.

JAN KOCHANOWSKI

Łaskawe życia naszego szafarki,
Ciągną nić złotą pracowite Parki,
Na wrzecznieczkach żywo namotają,
Dni nasze w złote kłębki nawijają.

A gdy już przędzy nie stanie srebrzystej,
To przetną pasmo i w drodze wieczystej
Wnet się człek ujrzy; ten szczęśliwy zasie,
Kto żył dla ludzi dobrze w swoim czasie.
I jako na świat przyszedł – tak i schodzi,
Czysty, jako się sprawiedliwym godzi,
A świat był jemu płomieniem ognistym,
Z którego żywot jak żelazo czystym
Wyłynął w wieczność, tam, gdzie ojce, dziady
Przeszli po cichu – na wspólne narady.

Zielona lipo moja, w której cieniu
Siadam i słonecznemu kryję się promieniu;
Jakże to wiele z tobą rozmawiałem,
Jakże to różne myśli wyśpiewałem,
Za każdą – złotą struną potracając;
Aże przegrałem życie, wdzięcznie grając.
Mogłem ci wprawdzie w zbroi, przypasany
Do miecza rycerz – i między dworzany
Stanąć królewskie. Lecz ty, lipo moja,
I ty mi, geśli, milszaś niżli zbroja!

Śpiewak też równie myślą sprawy ima:
I świat mu cięży jak hełm nad oczyma,
Za poczciwości chroniąc się pawężą
Tnie prawdę mieczem – aż smoki poleżą,
Albo zapaśnik legnie – wszędy boje.
Walczy, kto ima lutnię, jak i zbroję.
I świat jednak nagradza też one,
Liście na głowę wkładając zielone.

Tak nad mieczowym greckim bohaterem,
Jako nad ślepym śpiewakiem Homerem
Jedno, lauru liście skroń obwiodły;
Ziemia cóż ludziom da? – jeno chwast podły.
Pod cienie lipy mojej, gościu pożądanym,
Spiesz się, tu cię pokrzepi mój dzban polewany,
Złota przywita lutnia i ubogie progi,
I kwiaty mego sadu, a domowe bogi
Sen ci spuszcza przyjemny – aż cię zbudzą z rana
Na gołębniku ptaki i klekot bociana
Lub wierzbową fujara... Gościu mój kochany,
Usiądź ze mną za stołem i wianek różany
Przyjmij – fraszka ziemskie rzeczy,
Byle ojców obyczaj szczerze mieć na pieczy
I stare „kochajmy się” rad zawsze wspominać,
I umieć sobie z Bogiem i szablą poczynać.
Toć wszystko – więcej człowiek uczynić nie może,
Tępy ma wzrok, by odgadł dziwne sądy boże.
Więc się cieszymy nadzieją, chwytajmy sny złote,
Że nam naszą poczciwość i ojcowską cnotę
Nagrodzą – choćby płoche te sny były,
Praw-li, komu się one na świecie przyśniły.

Pójdź, gościu, w moje progi, otwarte ci wrota,
Wita cię stara prawość i stara prostota,
Zrzuć zbroje i rumaka pacholcowi oddaj,
A zwyczajom się naszym staropolskim poddaj!
Chcemy sobie być radzi,
Rozkaż, panie, czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przy tym w złote gęśle albo w lutnię grają!

SPOWIEDŹ W CYTADELI

Wdziawszy na siebie komeżkę białą
Opuścił cełę, zanim zadniało,
I szedł spowiadać ojciec duchowny.
Serce mu ścisnął żal niewymowny
I czoło starca zasepiał srodze;
Nie pierwszą duszę ku wiecznej drodze
Miał Chrystusowym słowem pocieszać,
Nie do pierwszego księdzu pospieszać,
A nigdy stopy nie stawiał trwożniej,
Nigdy tak nie drżał starzec pobożny...
I ksiądz się żegnał, i szeptał w skrusze
„Zdrowaś Marya” – za biedną duszę.
A choć tak szaro, tak jeszcze rano,
Tu, ówdzie postać dopatrzył znaną,
A wszystkie smutne narodu twarze;
Więc ksiądz przyklęknął chwilę przy farze,
Na czoło zsunął kaptur szeroki,
Rady uniknąć spojrzeń na boki,
I szedł, jak gdyby liczył kamienie,
Pospiesznym krokiem pod domów cienie.
Znać, że mu słowa spokój mieszały;
Tam się gdzieś lufcik zatrzasnął mały,
Tam się westchnienie z piersi rozkuło,
Serce nie kamień, żeby nie czuło.
Przy księdzu żandarm, z torbą skórzaną,
Postawą trwożył wyprostowaną.
I tak szli dalej, aż za zdrojami,
Aż za polami, aż za wałami,
Przebywszy bramy, mosty zwodzone,
Weszli w budynki ciemne, sklepione.

Długi korytarz, więzienie znane:
Te drzwi zielone, numerowane,
Tam lampka mruga, tam schody, prycza,
Szyldwacha postać gdzieś tajemnicza,

Zaglądająca w więzienną głuszę –
Diabła, co czyha na dobrą duszę –
Mignie przed okiem w szarym mundurze.
Cień się bagneta złamie na murze;
Kędyś kajdany słyhać w głębinie.
Nim ucha dojdzie, i brzęk już zginie.
Drzwi otworzono... Wyszły, wybladły,
Oczu błyszczących, twarzy zapadłej,
Siedział młodzieniec; okute dłonie
Na krzyż złożone trzymał na łonie,
Nad bladą skronią ciągną się górą
Niebieskie, czyste żyłki pod skórą,
Jak gdyby myśli przez żywot cały
Niebieską drogę powykreślały.
Oczy głębokie, wskroś przejmujące,
Znać, że się długo patrzyły w słońce,
Gdy z ich spojrzenia taki czar pada,
Że i oniemia, i wraz owłada.
Twarz ta uwagi widza nie wstrzyma,
Śmieje się, mówi, żyje – oczyma.
Nad nim wysoko na świt słoneczny
Okno zatarte, jak we mgle wiecznej;
Przy takim oknie izby więziennej
Tyle jest światła co w mgle jesiennej,
W której wzrok ślepie, a ciała mokną,
I takie zwie się: czyścowe okno.
Imiona więźni – znane, nieznanne,
Na murach izby powykreślane;
Wróg je zostawia, ze ścian nie maże:
Izby te zowią się przedcmentarze...
I z nich by można ułożyć listy,
Szereg szlachetnych dusz promienisty,
Postaci, które przez ten wiek cały
Na Sybir drogę wydeptywały.
Imiona polskie, nie znane w życiu,
Po zgonie głuchną w śniegów ukryciu
Albo się piszą po rudy łamach,
Piekielnych ścianach, kopalni bramach,
Od okna w górze aż do posadzki –

Okrutny, długi pamiętnik łącki;
Imiona owe w takim natłoku,
Tak się prosiły przychodnia wzroku,
Jako na grobach szare kamienie –
O Zdrowaś Maria i o westchnienie.

Ale mnich nawet nie spojrzął na te,
Powolnym krokiem przeszedł komnatę,
A chwały bożej gdy wyrzekł słowo,
Więzień mu odparł schyloną głową,
Na wchodzącego księdza wzrok rzucił,
A znać się bliską śmiercią nie smucił,
Kiedy pogodny, żalu daleki,
Na „pochwalony” odrzekł „na wieki”
Z taką swobodą, z taką miłością,
Że aż się w księdzu zesła kość z kością,
Tak zadrzał w sobie ów mnich z klasztoru.
Była w tym głosie wiara, pokora
I taka czystość prostacza, błoga,
Kiedy zobaczył księdza u proga,
Jakby dla niego poranek wstawał,
W którym się będzie tchnieniem napawał
Tych łąk, wzruszonych błogim wietrzykiem,
I uszy cieszył skowronków krzykiem.
– No, luby synu, zbierz myśli swoje,
Módl się i żałuj za grzechy twoje.
Pan Bóg odpuści, i z duszą czystą
Wejdiesz na drogę życia wieczystą;
A jeślić wielkie nie ciężą grzechy,
Przyjmij ode mnie słowo pociechy.
– Dobrze, mój ojcze, zaczynaj spowiedź,
Daj zapytanie, ja dam odpowiedź,
Bo w życiu – z smutnym dodał uśmiechem
Nie wiem, co zowią dobrem, co grzechem,
– Czy uniknąłeś dusznej zaguby?
Czyś nie zawierał bezbożne śluby?...
– O tak, zawarłem ślub z matką moją,
Tak mnie łudziła pięknnością swoją,
Z ojczyzną, moją matką prawdziwą,

A dziś zostawiam tę nieszczęśliwą,
Na rozwód, widzisz, z lubą się godzę,
Zrywam z nią związki, idę, odchodzę;
Ona zapłacze, a ja przebaczę
Temu, co sprawia, że ona płacze.
Przebaczę moją własną żalobę,
Życie skrócone o jakąś dobę,
Lecz cierpień malki niech mnie Bóg strzeże,
Na te, że przyjdzie sąd kiedyś, wierzę;
To już nie moja, a z Bogiem sprawa;
Rany brać musi, kto je zadawa.
Innych ja ślubów nie zawierałem,
Innej kochance nie przysięgałem –
Jeśli to grzechem, sproś odpuśczenie,
Bo ja kochałem matkę szalenie...
– Czy nie chodziłeś zbrodniczą drogą?
Czyliś, mój synu, nie zabił kogo?
– O, ja zabiłem samego siebie,
A potem byłem na swym pogrzebie.
Na trumnie leżał wieniec, wiązany
Nicią, co z serca ciągnie się rany.
Śliczna wiązanka z bólu gwoździków,
Ze wspomnień braci mych rozchodników...
Leżała gaza złudzeń młodości,
Róże przyjaźni, lilie miłości.
To wszystko, czego dla siebie chciałem,
W jeden prześliczny wieniec związałem
I mało ważąc zdania rozumne,
Ze świata sobie zrobiłem trumnę.
– Ewangeliczne zabójstwo twoje
Chrystus nakazał przez prawa swoje.
Lecz chciej przypomnieć grzechy człowieka,
Na które straszny archanioł czeka.
Czyś Pana Boga próżno nie wzywał?
Jego imienia źle nie używał?
– O, bardzo często! Mojaż w tym wina,
Że nie wysłuchał swojego syna?
Żem próżno wzywał jego imienia,
Czy na wolności, czy tu z więzienia,

Żem próżno błagał Polski zbawienia?
Na inne cele, ojcze wielebny,
Nie był mi nigdy w życiu potrzebny...
– Wstrzymaj, mój synu, tę gorycz duszy
I do katuszy nie łącz katuszy;
Nie gardź pomocą i bożym sługą,
Za tę ojczyznę dostaniesz drugą.
– O, nie, mój księżu, nie, mój serdeczny,
Ja nie chcę żadnej ojczyzny wiecznej;
Polska dla mojej duszy zbolalej
Milsza nad głębie wieczystej chwały;
Z ojczyzną wieczną ja nie oswoję
Rozmłowane to serce moje
I sprzed grającej złotej istoty
W dół mnie pociągną polskie tęsknoty.
Jej lekkich stopek porzucę róże
I w otchłań naszej mgły się zanurzę...
Za to bluźnierstwo niech mię Bóg skarże
Przebiegać chmurne Polski cmentarze,
Z miesiącem spadać w więzienne cele,
Po nocach jęczeć na chat popiele!
Niech mię Bóg skarzę na ten jęk długi,
Który roznoszą bory a smugi,
Nazwany wichrów żalonym płaczem;
Niechże ja będę wichrem-tułaczem,
Co wszystkie jęki zebrawszy w siebie,
Szumi na Polski strasznym pogrzebie,
Jęczy, narzeka, uszy rozdziera,
Leci i aż gdzieś w minach umiera.
A teraz inne wymień mi grzechy
I jeśli możesz, udziel pociechy,
– Więc jeszcze pytam, czyś w swej młodości
Nie pragnął kiedy cudzej własności?
– O, ja pragnąłem, niech cię nie trwoży,
Pragnąłem, ojcze, własności bożej,
Bo z tą własnością chciałem sam jeden
Nowy Adama utworzyć Eden.
Rwałem się w górę, biłem w te bramy
Sercem rozdartym, myślą i łzami.

Jak złodziej chciałem skarb wydrzeć Bogu,
Więzien związany, Łazarz z barłogu.
Lecz próżnom badał, w blask się zakradał,
W niebom uderzał, w piekło zapadał,
Co się po naszej ziemi rozwlekło –
Wszak i ty, ojcze, znasz polskie piekło?!
– Sługa ołtarza w cichej pokorze
Nie może badać wyroki boże;
Życie, mój synu, dane od Boga,
To na Kalwarię krzyżowa droga.
– Prawda, lecz gdym już przebył tę drogę,
I na ten stopień stawiać mam nogę,
Za którym już jej więcej nie stawię,
Nim na nieznaną brzeg się przeprawię,
Przebacz mi, ojcze, jeśli nad grobem
Za całą Polskę zawołam z Jobem:
Za co mię karzesz? za co te kości
Smagasz różgami tak bez litości...
– Nie płacz tak, synu, jest Bóg nad nami,
Tęcza na deszczu, wiara nad łzami.
Kto czasy boże z ludzi pomierzył?
Święty, kto cierpiał, szczęśny, kto wierzył;
Wiek, dwa, wśród wieków świata tysiąca
To jako iskra przy morzu słońca.
Cierpliwość naszą Pan Bóg wyzywa,
Błogosławiona dusza cierpliwa;
Cierpliwość nasza, nie błogie śnienie,
Jednoż to, synu, co i cierpienie.
W tym słowie leży prawd wszystkich całość,
Duma anielska, męska wytrwałość.
Tylkoż się w ranach własnych nie kochać,
Tylkoż nad sobą wiecznie nie szlochać:
Czyliż to życie warte łez tyła?
Skończył. Młodzieniec do nóg się schyla,
Na nagą stopę przeziębłą mnicha
Upadła głowa, potem łza cicha,
I za chwilowy smutek, zwątpienie,
Pokornie błagał o przebaczenie.
– Nie maszli żalu? Przypomnij, proszę.

– Nie, do nikogo żalu nie noszę.
I tu się młodzian zamyślił długo.
Z ocz woda znów mu wybiła strugą:
Chciał niby mówić, usta mu drżały,
Ale uśmiechy przyszyły i zwiały,
Może tam jaką skargę dziecinną,
Może tam jaką miłość niewinną...
Więc go spowiednik zagadł na nowo:
– A może chciałbyś komu, gdzie, słowo...
Matce, rodzinie?...

Rodzina cała,
Mór powiał, w jeden dzień poczerniała,
I wywleczono, i pogrzebiono
Po chrześcijańsku, w ziemię święconą.
Za czarną Moskwą, co nam mór znosi,
Ten jeździec biały leci i kosi.
Kochance? Którejż to imię służy?
Czy tej zagasłej gwiazdzie wśród burzy,
Co się z anielskiej przybliży strony,
Gdy nań upadnie sen upragniony,
Tak cudnie piękna i dziwnie cicha?
Na śniegach, których tumany spycha
Wicher północny, na górze stromej,
W śnieżnej świątyni jej cień znikomy,
Wpatrzony w księgi, okryty łamą,
Błaga jak niegdyś za nim, tak samo...
Przyjaciół, druhów nie chciał pozdrawiać,
Jak gdyby imion bał się wymawiać,
Tylko coś łowił w więziennej głuszy
I dopatrywał we ścianach uszy.
Nie, nic, nikomu – i głowę schylił,
Jak gdyby czekał, by go posilił,
Dwoma pytanie zbywając słowy:
– Ojczy duchowny, otom gotowy.
A w tych dwóch słowach odwaga brzmiała
Duszy, co składa swą odzież z ciała
I na rozkazy boże poddana,
Staje przezczysta i niezachwiana.
A ksiądz mu dłonie kładąc na czoło

Jakby słoneczne dopatrzył koło,
Co się wykreśla nad świętych głowy,
Odmawiać począł psalm Dawidowy.
A znać, że słowa te były szczerze,
Bo płacz zaplatał mnich w *Miserere*.
A potem szybko patrząc na strony
Wyszeptał z duszy Bogiem natchnionej:
– Oto przychodzi Baranek Boży
W duszę człowieka, co się ukorzy,
Aby był nad to słońce jaśniejszy
I nad brylantów ogień przedniejszy,
Albowiem w jego ręce powierzę
Jerozolimę – i niech jej strzeże.
Więc żeś nie bluźnił, chociaż narzekał,
I miłosierdzia mojego czekał,
Otoć przebaczam i z twego czoła
Ścieram człowieka – i blask anioła
Nad twoją głową rozwodzę kołem,
Abyś był odtąd Polski aniołem!...

Zaledwie skończył, słońca promienie
Przez kraty w ciemne padły więzienie
I uczyniły w owej godzinie
Z tego więzienia bożą świątynię...
I tylko że w niej nie brzmiały hymny,
Ale wiatr jakiś przeciągał zimny
Od drzwi otwartych, w których połowie
Już stał oficer w hełmie na głowie
I słyhać było bębnow łośkoty
I próbowanie marsza piechoty,
I od dziedzińców mało-pomału
Dolatał tętent konnych oddziału.
– No, czas! – głos zagrzmiał – dzień się zaczyna!
Więzień ma prawo zażądać wina.
Na ostre, zimne żołnierza słowo
Młodzian przecząco poruszył głową,
Uścisnął księdza dłoń wyciągniętą
I skinął, by mu kajdany zdjęto...

Dalej nie śpiewam; to, co się stało,
Tyle mi razy serce ściskało,
Że umęczona dusza – z daleka
Od piekła polskich wspomnień ucieka.

CZEGO NAM POTRZEBA

Daleko, daleko
Te wody już cieką,
Przy których widziałem,
Przy których słyszałem,
Co tu wyśpiewałem.

I dęby spróchniały,
Co przy chacie stały,
Pod których konary
Siadał dudarz stary,
Co się po wsiach włóczył
I piosneczek uczył.
Ale w myśli mojej
Wszystko żywo stoi.

Sosna rosochata
I na łące rzeczka,
Kędy jaskółeczka
Latała skrzydlata,
A białe gołębie
Siadały na dębie,
A w oknie siadała
Panienczka biała,
Co pieśni śpiewała.

Ach, w niebie kraj taki
Jak polskie równiny,
A jakie chłopaki,
A jakie dziewczyny,
Ach, Boże jedyny!

A Wisła, ta rzeka,
Co w morze ucieka,
Co siwa u brzegu,
A modra z daleka,
Gdzie płynąc na tratwie

Flis przygrywa dziatwie
I wiezie za morze
Mazowieckie zboże,
Ach, Bożeż mój, Boże!

A kaździuchne pole
Równe jak po stole,
To jak z ciepłą wiosną
Pszenice porosną,
A zboże kłosieje,
A wiatery powieje,
To zda się w tym zbożu,
Że płyniesz po morzu,
Tak wietrzyk kłosami
Buja jak falami.

Och, kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy,
Choć człowiek ubogi,
A jednak szczęśliwy
I takiej natury,
Że się nie oddali,
Choćby mu dawali
Nawet złote góry.

Zielona dąbrowa,
Stado koni biega,
A jak się wierzbowa
Fujarka rozlega?
A jak się tam bawia,
Jakie bajki prawią?

Toteż, dawniej, było,
Wszystko się bawiło,
Tak w tym kraju miło.

Teraz tam inaczej,
Teraz nie zobaczy
Tych wszystkich radości,
Same tam żałości.
To po dawnych dworach
Srebro stało w worach,

Na srebrze jadali,
W jedwabiach chadzali,
Teraz jedzą z gliny,
Mój Boże jedyny!

Lecz choć nie ma wiele
Bogactwa, wesela,
Chociaż więcej biedy,
Niżli było kiedy,
Wspomnij jeno komu,
Że ma odejść z domu,
I z domu, i z kraju,
Łzami się obleje,
Na śmierć zateśknieje
Po ojczystym raj.

Nic by nie potrzeba
Do naszego nieba,
Jak tylko swobody,
Równości i zgody.

O, dajże to, Panie,
Niechaj się tak stanie
Dla polskiej krainy,
Mój Boże jedyny!

POGRZEB MOSKALA

A z chałupy kowala
Będzie pogrzeb Moskala,
Stary sierżant Nikita
Kowala się zapyta:
– Gospodarze moi mili,
Możeście go zamorzyli?

A on rzecze od miecha:
– Idźcież sobie do grzecha!
Całe życie żołnierki
Takiej nie miał wyżerki,
Lecz co prawda – to nie grzech,
Takie życie – to nie śmiech.

Czemu nie miał mrzyć,
Kiedy bieda żyć?
Stare płaszczysko,
Karabinisko,
Z kulami worek
I pies Azorek,
I tornister cielecy,
Ponoć nie miał nic więcej?

– Gadasz, chłopie, marne słowo,
Nasz brat służył honorowo.
– Niepotrzebne te przechwałki,
Widział ci ja, jak brał pałki.
Lepiej służyć Żydowi
Niż takiemu królowi.

– Małczy, chłopie kowalu!
– Ej, głupiś ty. Moskalu –
Rzekł Bartłomiej ze śmiechem
I jał węgle dać miechem;
Fajkę sobie nakłada
I nic do nich. nie gada.

Wzięli tedy żołdaci
Na ramiona, jak brata,
I nieśli go pospołu
Sześciu ludzi do dołu,
Dobosz z bębniem skórzanym
Przed umarłym Iwanem
I piszczałeczka mała
Moskalowi świstała.

A przy oknie we dworze
Mówi dziedzic: – Majorze,
Zabiliście biedaka.
Major łyknał araku:
– Szczę tam, panie Polaku,
Nu taki zdechł, sobaka.

MAZUR [I]

Mazur ci ja, Mazur,
Spod Warszawy rodzic,
Nie żaden pan baran
Ani wojewodzie.

Najprzód mnie ucono
Grabić w łące siono,
Na stodole młócić,
Ćterma końmi włócić.

A kiej mię już byli
Wyhdukowali,
To mnie ożenili,
Za żonę wydali.

Siono – jako siono,
Cielok – jako cielok,
Ale z miłą żoną
Cłowiek smutny wselok.

Bodaj to parobkiem!
Chodzić sobie sobkiem –
Copka z fantazyją,
Sukman granatowy,

A w tanecku biją
Iskrami podkowy,
Stalowy obcasik –
I cerwony pasik!
Jesceć mieli racją
Dawać hedukacją,
Lec ze żonką dali –
To się pomyłali.

Cłek by miał ochoty
Podobać się komu,
A tu ksycy z choty:
A pójdzies do domu!

Bóg się nie zmiłuje:
Toć mię gnębią wsycy,
Żona mię pomstuje,
Dziecko w łóżku piscy,
A dymem z komina
Dymi chałupina:
Niech je tam wciornosce
W tym ostatnim dzionku!

Zostanę ja w wiosce
Chyba na postronku:
Jak jeno zaświta,
Z moją żonką kwita!

Zostawiam stodoły,
Dwa konie, dwa woły
I pscół ćtery pieńki,
W skrzynce dwa dukaty.

Ma nowe sukienki
I cycowe smaty:
Nie pierwsej młodości,
Nie będzie żałości.

Pójdę do starszego,
Zamelduję mu się:
Powiem, zem z Dębego,
Ze mieskałem w lesie.

Mam z sobą fuzyję,
Co niezgorzej bije:
Lepiej w wojsku strzelcem
Niż w chacie wisielcem!

Bo przysięgam Bogu,
Jakem Maciek Dzwoniec,
Ze by mi w chałupie
Przysło na ten koniec.

LIRNIK Baśń

No, ja tam nie wiem! A kto to wie?
Może to prawda, może i nie?
Nasi na pole wyszli z pługami,
Wyszli z pługami i z radlicami,
Zorali ziemię przez dzień bez mała,
Patrzą – aliści ziemia szcerniała!
Dziwnie im, strasznie – boć to był oto
Piasek pod borem, jasny jak złoto.
Staną i patrzą dumając próżnie –
Ten tak powiada, ten znowu różnie...
Aż tu od lasu wiedzie przez pole
Dziada-lirnika małe pachole.
A starzec z brodą do ziemi, dziad,
Musiał mieć chyba już ze sto lat!
Na wszelką zmianę człowiek się trwoży:
Kto wie, jak będzie? Lepiej czy gorzej?
– Oj, ciężki przyjdzie na ludzi los! –
Ozwał się jakby spod ziemi głos.
Starzec pod drzewem przy drodze stał,
Zdało się, czoło wśród liści miał.
Wychudłe ręce nad ludzi wzniosł
I tak się zdało, jak gdyby rósł...
Migają gwiazdy, wieczór zapada,
Ludzi się wielka zbiegła gromada.
– Źle będzie, dzieci! Ta ziemia cała
Z wielkiej boleści tak poczerniała!
Ona-ć wam zboże rok na rok wyda,
Lecz braknie ludzi... Na cóż się przyda?

Ojców ni synów wróg nie oszczędzi,
Miecz wam zatruty do serca wpędzi,
Od piersi matki oderwie dziecko,
Dziewki wam zhańbi, zatruje życie.
Tu widząc lirnik, że ludzie płaczą,
Począł swą lirę kręcić prostaczą,
A tak wesoło, a tak radośnie,
Że aż z uciechy serce im rośnie.
Śmieją się dzieci, cieszą się starzy,
I lzy, i przestרח uciekły z twarzy.
Chłopy do góry skaczą z radości –
Pełno uciechy i wesołości.
Na lirze struna mocniej zabrzękła,
Pełną nadzieją brzękła – i pękła...
Cóż to za tuman z tej strony dmie?
– Dzieci, nie mgła to, nie chmura, nie!
To chmury wrogów ciągną w te strony!
Pierzchnął z daleka lud przełękniiony
I jeno kilku zostało przy nim:
– Powiedz, co czynić? A my uczynim!
Któż z nas pokara te wściekłe wrogi,
A wróci pokój w domowe progi?
A na to starzec: – Kto tę zerwaną
Naciągnie strunę moje kochaną,
Kto ją naciągnie, ten sprawi cud;
Kto zagra na niej, ten zbawi lud!
I dał im lirę, i znów przez pole
Wiedzie lirnika małe pacholę...
I któż poradzi tej cudnej strunie?
Który pociągnie, to mu się zsunie...
Hej, ty lirniku! Wróc się no sam!
Naciągnij strunę – i zagraj nam!

O GÓRALACH

Nasi karpaccy bracia górale
Siedzą w dolinkach, co się zwą hale.
Pod modre niebo góry się jeżą –
Śniegi tam zimą i latem leżą.
W nizinach szumią wody rozliczne,
Przy wodach bujne łąki prześliczne,
Po skałach ciemne świerki się chwieją,
Jak zajrzysz – góry w mgłach błękitnieją.
Nadrzeczny kamień gdy weźmiesz w dłonie,
To cię zalecą fiołków wonie.
Woda tak słodka i taka chłodna!
A dusza ludzka tak tam swobodna,
Że sobie myśli: A Boguż chwała,
Otom się żywą w niebo dostała!
Gdyby nie Niemcy, co Polskę kuszą,
Siedząc jak diabeł nad dobrą duszą,
To na góralach takie śliczności –
Że się przypatrzyć naszej piękności!
Z wielkich gór woda leci na młyny,
Szumi po dołach, huczy jak młyny...

Gdzieś tam, daleko, w ciemnym wąwozie
Wesoły góral beczy na kozie,
Cygan-włóczęga, co się tam błąka,
Siedząc przy drodze na drumli brzdąka...
Nad modrą wodą, pod ciemną skałą –
Jakby łabędzi tam naspadało –
Siedzą dziewczyny. A jakie ładne!
Nie porównają się z nimi żadne!
Rączki toczone, nóżki maluchne,
Oczka śmiejące, usta słodziuchne:
O Matkoż Boska, jakie dziewczyny!
Co tam lilije! Co tam maliny!

Góral przez lato barany pasie;
A zwierza strzela w zimowym czasie,
A na doliny nierady schodzi:
Z tak pięknej ziemi wyjść się nie godzi!
Chyba tam kiedy na jarmark jaki
Poniesie sprzedać zabite ptaki,
Chyba na odpust do Częstochowy
Lub gdy w Krakowie brzmi dzwon zamkowy
Na Boże Ciało, lub gdy na wojnę
Wychodzą polskie zastępy zbrojne:
O, wtedy góral bydło zostawi,
Matka mu stara pobłogosławi,
A siwy ojciec grosz da na drogę –
I starą kosę na zapomogę...

Złota niewiele człek tam znachodzi –
Za to się w górach lud złoty rodzi,
Za to żelaza znajdzie się dosyć,
Żeby raz wrogi w Polsce wykosić.

SEN KRÓLA JANA

Oj, nad Dunaju, nad wodami,
Bili się Turcy z Polakami.
Hej, ty Dunaju sinobiały,
Czemu tve wody szcerwieniały?
Leżą złamane tarcze, łuki,
Zbroje zdeptane i buńczuki,
I damasceńska szabla krzywa
Ostrzem się w piasek zaorywa;
Zabite słonie, co dźwigały
Namiot sułtański, srebrny cały;
Ówdzie huczliwe surmy, kotły
Końskie kopyta w ziemię wgniotły;
Z żelaza bite leżą zbroje,
Przy nich jedwabne lśnią zawoje.
Pędzą obłoki, grzmi na chmurze,
Przejdą nad polem deszczu burze,
By znowu ziemia jasną była,
Ze krwi się ludzkiej oczyściła.

Hej, ty Dunaju, stara rzeko,
Niesiesz ty wody swe daleko:
Chluśnij pogańską krwią narodu
O białe mury Carogrodu.
Księżyce pobił cud niebieski
I sławny polski król Sobieski.
Hej, ty Dunaju, w twoim łonie
Dłużej dziś jasne słońce płonie,
Bo imię Maria je wstrzymało,
By chrześcijaństwu przyświecało.
Pod czarnym dębem namiot stoi,
Król w nim spoczywa w ciężkiej zbroi;
Obozy wojska leżą wkoło:
Husarze, to rycerstwa czoło,
Dalej pancerni, kiryśniki,
Za nimi Niemców ciężkie szyki.

Gdy burza rześnym deszczem leje
I koronami dębów chwieje,
Gdy trwoga ściska Turków boki,
Kiedy deszcz zmywa krwi potoki,
A po świątnicach biją dzwony,
Że srogi Turczyn zwyciężony:
Co też królowi pod namiotem
Zlanemu w boju krwią i potem,
Kiedy tak wielcy dziś Polacy –
Co mu też śni się po tej pracy?

Różne przychodzą sny człowieku,
Jak do myślenia, jak do wieku,
Lecz czasem idą sny prorocze,
Z którymi rozum się kłopotuje.
Taki sen, wierę, króla tłoczy,
Gdy mu znużenie zamkło oczy.
Niby na wielkie patrząc morze
Ze szlachtą płynie po Bosforze.
Mgły nad brzegami – fale szkliste,
Na wałach światło gwiazd rześiste,
Okręta pędzą po głębinie...
I któż to k'niemu z brzegów płynie?
Nie Turek to – on bez turbana,
Bez puginału, jatagana,
Rzemienie wiszą mu od pasa...
To nagi duch – Leonidasa.

Powitał szlachtę dobrym słowem,
Czołem ukorzył się marsowem,
I tak był wielki w ową chwilę,
Jak kiedy bronił Termopyle:
– Patrzcie, to Grecja moja sławna,
Dotąd jam wieńce dzierżył z dawna,
Nad najmężniejsze męże stał!...
Dotąd jam wszystkie wieńce miał,
Dziś liście żółkną na mej skroni
Od blasku waszej, mężo, broni.

Niech Grecja wstanie z swego skonu,
Bo z Mantynei, Maratonu
I Termopylów ostrych skał

Duch Grecji w sercach waszych wiał..
Nie islamizmu tłuszcza dzika,
Niech Republikę – Republika,
Wolnych – niech złota wolność sprawia,
Niech dzierży naród i niech zbawia.
Bezecna stopa poganina
Depce marmury Konstantyna
I bizantyjskie ściera złoto...
Chrześcijański królu! spojrzysz oto:
Gdzie Akropolis kolumn rzędy,
Gdzie grody nasze – gruzy wszędy!
Patrzcież! Otworem Grecja stoi,
Pójdźcie do wielkiej ziemi mojej! –

Lecz szlachta szable w dłoniach wstrzęsła
Tysiącem stalnych zbrój zachrzęsła:
– Myśmy nie Niemce dziś bronili,
A krzyża, co się w ziemię chyli;
I nie do Grecji nasze prawa:
Za wszystko nam – uczciwa sława,
Która na wieki będzie brzmiała,
Chybaby cnota skonać miała.
– Bierzcie więc z Rzymu wieńce złote
I z nieba wieńce za swą cnotę,
Ale spojrzycie, co się stanie,
Gdy waszych wielkich serc nie stanie! –
I czarodziejsko na wiatr skinie,
Morze i Grecja z oczów ginie.
I widać zamki rozrzucone,
A wśród nich ludzie wynędznione,
Właśnie jakby szli w zatracenie;
A wielki smutek i milczenie.
Pod ruinami starce siwe
Siedzą w kajdanach, nieszczęśliwe,
A ciała niewiast, by aniołów,
Leżą wśród gruzów i popiołów...
Więc król zawoła: – W którejż stronie?
Zaś my jesteśmy w Babylonie? –

Wtedy okuty starzec wstaje,
Uderza, lira brzęk wydaje,

I głosem smutnym, w wzniosłym rymie
Śpiewa nieszczęsnej Polski imię.

Patrzcie, tu Niemiec zbroi dłonie,
Na rzeź morderczą daje bronie,
I oto płoną stare dwory,
W gruzach pałace i klasztory,
I cała ziemia krwią opływa,
Na niej duch mężnych dogorywa.
Tysiące ludu bez przyczyny,
Jako baranek tak bez winy,
Kona pod nożem krwawej tłuszczy.
A głos ich, jako głos na puszczy,
Daremnie woła w owej porze:
Za cóżeś nas opuścił, Boże!
Widzisz to mnóstwo dzieci drobnych,
Osieroconych, tak nadobnych,
Jak na ojcowskie idąc groby:
Śpiewają długą pieśń żałoby...

I król wraz z nimi płakać jął,
Aż Chrystus z krzyża ręce zdjął
Rzekąc: Witajcie, w niebie znani,
Światłem odziani, krwią oblani!

I obraz znika – i sen znika.
Ożyła dusza wojownika.
Powstał. Poranek świtał biały,
Mgły nad Dunajem błękitniały,
A króla wojsko, naród mnogi
Witał, rzucając mu pod nogi
Wawrzyn i róże wonne, białe,
I głośno mężów śpiewał chwałę.

Więc król co prędzej w kościół biegał
I godzin cztery krzyżem leżał,
I prosił Boga, we łzach smutny,
By się nie sprawdził sen okrutny.

NA LIPE SŁOWIAŃSKĄ

Lipo zielona! Drzewo ojczyście,
Co na mnie kwiaty strzęszasz złociste
I cień daleki rzucasz dokoła –
Drzewo rodzinne, ozdobo sioła:
Twoich gałęzi mnogie ramiona –
Jako słowiańskie nasze plemiona –
W jednym pniu silnym w ziemi się łączą,
Jeden kwiat sypią i miody sączą.
Gdy Niemiec z ciebie skórę obdziera,
Gdy cię waragska rąbie siekiera,
Ty jednak, silna, w następnym lecie
Znowu też same rozrzucasz kwiecie.
Ludy słowiańskie! Toż my podobnie
Jak nasza lipa rosnąc nadobnie
Przetrwali długie dziejowe burze,
Pioruny, grady i wichry duże.
Z gałęzi naszych cóż nie zrobiono!
Spójrzcie na Polskę na grób schyloną:
A toż to z onej, o bracia wierni,
Krzyż się ogromny na ziemi czerni.
Z krainy serbskiej, z tej ziemi bólu,
Sterczą mogiły w Kosowym Polu;
Z Czech światosławnych, z wielkiej Morawy
Krew płynie w srebrnych nurtach Wełtawy;
Nasze Pomorze, sławne przed laty,
Niecnota Niemiec zmienia w warsztaty.
Lipo słowiańska! Gdzie twoja chwała?
Czyś ty już, nasza lipo, spróchniała?

Nicze już więcej z ciebie nie będzie,
Jak krzyż i warsztat na naszej grzędzie?
– Oj, cicho, piskłę! Moje konary
Jeszcze się zdadzą królom na mary.
Oj, cicho, piskłę! Ucisz swe płacze!
Z mojego drzewa skrzypki prostacze
Nastrój na nutę wielką, podniosłą,
Żeby w tym ludu serce urosło,
Żeby zagrały wszystkie krwi krople,
Żeby ta chwała, co leży w Gople,
Buchnęła w niebo z swojej mogiły,
Żeby się słońca dwa rozświeciły:
Jedno – to jasne na modrej fali,
Drugie – słowiańskie z słowa i stali!

JAK TO NA MAZOWSZU

Po szerokim polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekło, pod błękitem suną.
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka
Płynie łódź flisowska jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wiosła na falach i śmiechy, i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie
I śpiewa miłemu: „Pędź, głosie, po rosie.”
Po długiej dolinie tęskne tony cieką
I słyhać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju –
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze,
I sosny rośniejsze, i dziewczki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak rażna dziewczucha,
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły – oj tęskno mi do niej!

Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj! Mazur ja, Mazur pomiędzy obcymi,
Zmarnuję ja młodość na nie swojej ziemi.
Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało –
Oj, poczerwienione jak oczy matczyne,
Co mnie błogosławiąc patrzyła w dolinę.
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosa
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy.
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
Na gałęziach wrony krakały nade mną –
Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie – nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło.
Daremne po drodze patrzyłem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali;
Nie było nikogo – i poszedłem dalej.
I dalej, i dalej w świat szeroki, długi, –
Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi!
Ludzie, nasi ludzie na polu leżący,
Bracia Mazurowie, coście tacy śpiący?
Wstawajcie! Wstawajcie! – Daremne wołanie!
Potłuczone zboże więcej nie powstanie.
Na dalekiej ziemi leży lud na pował,
Połamane kosy, co na wojnę kował.
A ja patrzę na nich we łzach niewymownych –
I przygrywam sobie na skrzypkach wędrownych.
Lasy, nasze lasy, mazowieckie lasy,
Coście przeszumiały nasze sławne czasy –
Gdzie się to podziła nasza dawna chwała?
Wiatrem się rozwiła, śniegiem roztopniała.
Taka wielka ziemia – o mój mocny Boże!
I że też z przemocy otrząść się nie może.
I po co to kwiecie rośnie, i dla kogo –
Żeby je wróg deptał swą przeklętą nogą?
I po co ta Wisła srebrne toczy fale –

Żeby w niej swe konie pławili Moskale!
Na co się te nasze dziewczki wychowały –
Żeby dziś moskiewskie dzieci piastowały!
Oj, bracia Mazury! Krzywda nam się dzieje,
Ojcowską chudobę rozkradli złodzieje.
Wiecie, skąd te gwiazdy i piasek nad Wisłą?
Ile ludzi padło, tyle gwiazd zabłysło,
Z każdej łyzy ziarenko piasku urobione;
Te gwiazdy i piasek – toć niepoliczone!
Skrzypki, moje skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też, Mazury, chętnie posłuchajcie!
Wszystko zostawiłem, a wziąłem to jedno,
Od czego wam lica to płoną, to bledną;
I włóczę się oto, i tęskliwie żyję –
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato –
Boże dopuszczenie – chwała mu i za to!
Zagrajcie, skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
I życie, i piosnka dobrze się opłaci,
Jeżeli łyzy-perły weźmie z serca braci.
Witajże mi, witaj, ojczyzno kochana,
W boleści, w tęskności – oj dana! oj dana!

HUŁAN

Rzy koniczek mój bułany,
Puście – czas, już czas;
Matko, ojciec mój kochany,
Żegnam, żegnam was.

Z dala słyszę trąb hałasy,
Dobosz w bęben grzmi,
Rzucam, rzucam słodkie wczasy,
Błogosławcie mi!

Hej, luzaku! konia podaj,
No, nie płaczcie już,
Raczej, matko, męstwa dodaj,
Krzyżyk na mnie włóż.

Cóż by życie warte było,
Gdybym gnuśnie zgasł?
Dosyć, dosyć się marzyło,
Teraz działać czas.

Słyszeliście? Grzmiały armaty,
Rozpoczął się bój;
Żegnaj, łąko, drzewa, chaty,
Dalej, koniu mój!

NIEMCEWICZ, SŁOWACKI, SZOPEN**Piosnka**

Oj, zakukały trzy zazuleńki w gaiku,
Oj, posmutniały trzy srebrne gwiazdki w strumyku,
Oj, poszumiała brzezina biała wisząca,
Oj, zapłakała ojczyzna cała cierpiąca.

Oj, zazuleńki, czemuście takie żałosne?
Las się rozwija, słoneczko ciepłe na wiosnę.
Oj, srebrne gwiazdki, czemu was chmura okrywa?
Czysta krynica w cichej dolinie przepływa.
Oj, białe brzozy, coście tak smutno zagrały?
Wietrzyk przewiewa, na niebie świta dzień biały.
Oj, czego płaczesz, ojczyzno moja kochana?
I tobie wschodzi zorza wolności rumiana.

Zazule kują po ciemnym lesie żałośnie,
Bo na mogiłach gęślarzy lasów mech rośnie.
Gwiazdy na wodzie srebro siejące poblady,
Oj, bo trzy gwiazdy w cieniu wieczności zapadły.
Powiały brzozy rozgłośnym jękiem boleści,
Bo im zachodni wietrzyk podmuchał złe wieści.
Ojczyzna łzami wybladłe lica zrosiła,
Bo trzech śpiewaków, trzech wiernych synów straciła.

Pierwszy z pierwszymi synami Polski wędrował
I śpiewał pieśni, i za morzami wojował.
Drugi z drugimi szukał u ludów ludzkości,
Śpiewał boleśnie, umarł daleko z tęskności.
Trzeciemu kiedy nieszczęście ludu zadźwiękło,
Porzucił struny, westchnął i serce mu pękło.
Oj, wy hetmani w złocistych zbrojach i w stali,
Kto was, rycerze, za święte wojny pochwali?
Kto wam zaśpiewa taką podniosłą pieśń z duszy?
Chyba wiatr, kiedy trzciny jeziora poruszy.

Oj, wy na piaskach w równym powiślu Mazury,
Jaki to teraz smug mazowiecki ponury!
Słoneczko grzeje – nas tylko jakoś nie grzeje,
I świat się śmieje, a nam się jakoś nie śmieje,
Bo umarł grajek, co ślicznie grywał dla ludzi.
Kto dziś Mazury do wesołości pobudzi?
Oj, Mazurowi, co pocieszenia rad szuka,
Smutna kukułka w zielonym gaju zakuka.

MOJA PIOSNKA

Zawsze te same sosny żywiczne,
Zawsze te same wody kryniczne,
Łąki i rosa, przeróżne kwiatki,
Zarannek cichy i błękit gładki!
Skowronek, lecąc w toń lazuruwą,
Wisi w powietrzu nad moją głową.
Kiedy się w sobie, bracia, uciszę –
To wszystko widzę i wszystko słyszę.

I tak się z serca wydziera śpiewka,
Jak mazowiecka do tańca dziewczka,
Strojna w bursztyny, w korale, maki
I złote piżmo, modre modrzaki,
Jasna jak zorza, świeża jak woda,
Przy brzęku skrzypie wywija młoda –
Ani się pyta, czy to tak ładnie:
Toć przecie komuś do serca wpadnie!

To mi tak czasem coś w ucho gada,
Niby dziewczyna ze złotą cywką:
Spojrzę się – mignie gębusia blada,
Chwytam w powietrzu jasne przędziwko
I snuję z niego tęczę na chmurze,
I snuję z niego stokrotki, dzwonki,
Żółte dziewanny i polne róże,
I wstęgi wody przez wonne łąki.

I naraz – wioska błysnie kochana,
Na pocieszenie... Dana, oj dana!
Chałupy drzemią, chylą się sosny!
A w duszy mojej tak pełno wiosny,
Takim szczęśliwy! Lecz szczęścia promień
Niedługo świeci: znikają blaski,
I noc, i wichur, i straszny płomień,
I od płomienia straszniejsze wrzaski –

I krew się burzy, i pięść zaciska,
I niema spada łza w spaleniska,
Bo serce pęka...

Strózu aniele,
Zawodzącemu mnie na popiele
Przybądź i z duszy mej ścieraj plamy
Błękitem wiary, nadziei łzami!

Tak ja tam zawsze do was przychodzę,
W śnie czy na jawie ja ku wam w drodze,
Łódką flisowską czy też z lirenką
I z krzywym kijem ciągnę z daleka:
Czy też kto wyjdzie, czy też kto czeka,
Czy kto powita przyjazną ręką?
Na ciepłej łące grają derkacze,
Spod nóg mi rwą się pliszki i lelki.
Nikt mnie nie wita! Sercu żal wielki.
Nie dość na jawie – jeszcze w śnie płaczę
I ręką wiodąc ku zachodowi
Śpiewam żałosne: Bywajcie zdrowi!

Bywajcie zdrowi! Myśl moja z wami;
Ona tam górą ciągnie z gwiazdami
Albo się miesza w bocianie stada
I białoskrzydła na ziemię spada.
Ona tam stoi nad wód krynicą
Albo się wiesza na krzyżach drożnych,
Ona się modli z białą dziewicą
I unosi się w hymnach pobożnych.
Choć wy na moje serce żelazem,
Choć zimnym lodem, ja z wami razem.

Powietrze ciche jak zasiał makiem,
Zarumienione poranną zorzą:
Tak bym rad wzleciał w powietrze ptakiem,
W ten szklany przestwór, w tę piękność bożą!
Och! Jakiś anioł na świat się zniża,
Bo czuję lekkość Chrystusa krzyża
I bliską radość, i pieśń żałosna
Topnieje łzami. Wiosna, och, wiosna!

Precz, marne skargi! O, bracia moi,
Przyjmijcie w serce tę piosnkę lichą.
Ona uboga przed chatą stoi,
Jeżeli płacze, to płacze cicho.
Siostry i bracia, otwórzcie oto!
Pustka. Zacichnij, piosnko sieroto...

PRZYWITANIE

Zaszumiały bory, zaszumiały lasy,
Gdzieście się podziały, moje młode czasy?

Gdzieście się podziały, wy złote miesiące,
Kiedym nocką pasał koniki na łące?

Moja ty dziewczyno, moje ty śliczności,
Gdzie się to podziały te nasze miłości?

Kiedyś mnie żegnała, łza łzę pobijała,
Teraz się spoglądasz, jakbyś mnie nie znała.

Żołnierz ci ja, żołnierz od polskiego wojska,
Byłbym ja bogaty, gdyby była Polska.

Płaszczysko zszarżane, wytarte galonki,
Już ja z ciebie, Kasiu, nie będę miał żonki.

WYGNAŃCE DO NARODU
Wiersz napisany w r. 1850 z powodu skłaniania
do żądania amnestii

Niechajże naród słyszy głos tułaczy,
Głos przeraźliwy, boleść go wydarła;
Oto my, biedni, w nędzy i w rozpacz,
Nie wyrzekliśmy to słowo: „Umarła.”
Choć nas głód morzy, choć szyderstwo pali,
Choć nam tęsknota z oczu łzy wyciska,
To myśmy Polsce wiernymi zostali
I wrócim wierni do ojców ogniska.
A kto nie wróci, kogo grób zabierze
Pomiędzy ludem na męczarnie głuchym,
O, bądźcie pewni, że umierał w wierze,
Że do ojczyzny wolnym wróci duchem.
Niech nas odepchną ludy znikczemnione,
Wy nawet – w kraju naszym bracia nasi,
Niech nas oblewa to łez morze słone,
Wiary w ojczyznę morze łez nie zgasi.
Z tą świętą wiarą przejdziem przez świat cały,
Przejdzie własnymi znacząc mogiłami,
Po tych mogiłach, gdy wejdzie świt biały,
Nie zmylim drogi, wytkniętej krzyżami.
Niech car zniewolą w kraju naszych braci,
Niech świat zhołduje – Polski nie zatraci;
Bo jeszcze wtedy nasz głos go powoła
Przed sąd Chrystusa, przed obliczność Bożą;
Chrztu na Polaków nie zetrą nam z czoła,
Choć nas uwiężą i w kajdany włożą;
Choć nas bić będą i plwać na oblicze,
Włóczyć przed sędzię tyranów sprzedajne,
Z tęsknym uśmiechem wypijem gorycze
I zniesiem w ciszy męki nam zwyczajne.
A choć krzyżowa nasza droga długa,
Ale im dłuższa, tym większa zasługa.

A wy, odstępcy, niech wam Bóg przebaczy,
Niech nie pamięta, wy z czołem wytarłem
Klękli przed carskim prestonem, przed czartem,
Niosący różgi moskiewskich siepaczy
Na krew rodzinną, i wstyd was nie spali,
Kiedy bluźniercze wypluwacie słowa
Na tych, co Polsce wiernymi zostali
I płoną jeszcze jak świeca grobowa,
Podana w ręce chorego ściśnięte,
Przy której duchy gromadzą się święte.
I car, mówicie, przyjmie nas łaskawy
W ojczyźnie naszej, już w dziedzinie swojej.
Wiecie, że umarł, kto śmierci się boi,
Przeklęty, który zdejmą wieniec krwawy,
Kto łamie pałasz, kto opuszcza braci,
Kto się ubogiej swej matki zapiera,
Kto krwią ojczyźnie długu nie wypłaci,
Taki, słuchajcie, na wieki umiera.
O! bezrozumni, o, nikczemni wcale,
Odstępcy, dumni skarbów swoich złotem,
Pozwólcie umrzeć nam pod obcym płótem,
Fałszywe swoje zakończcie raz żale,
Bo groby pękają od tego bluźnienia
I z klątwą z grobów wyjdą na was ojce,
Bo język przyschnie wam do podniebienia,
Bo przyjdzie na was kaźń, jak na te zbójce,
Którzy gdy z Boga złoty płaszcz ściągali,
Podniósłszy ręce, w zbrodni skamieniali...
W owym zbójckim czynie uwiecznieni,
Kamieniem stwardli, gorsi od kamieni.
O! Polsko nasza, my święcie wierzymy,
Chociaż tak wielu odstępców się podli,
Że tam, gdzie ciągną pogorzeli dymy,
Za ciebie, Matko, biedny lud się modli.
Że w niskich chatach i po starych dworcach,
Gdzie nie dosięga pycha i zepsucie,
Jeszcze tam mają orła na proporcach,
Jeszcze tam mają pocziwe uczucie.
O! jest tam wielu takich ojców prawych,

Co by przekleli syna, gdyby wrócił.
O! jest tam wiele takich dziewic łzawych,
Które by powrót kochanków zasmucił.
O! jest tam wiele takich polskich matek,
Którym by serce pękło przy witaniu.
O! jest tam wiele takich polskich dzieciak,
Co byś nie odjął się ich urąganiu.
O! jest tam wielu braci nieodrodných,
Żywiących w sercach miłość dla Ojczyzny.
Jest ciebie, Polsko, jeszcze wielu godnych,
Co wezmą kiedyś na świadectwo blizny.

Ku nim wygnańcy wyciągając dłonie,
Kiedy ich kilku przy drodze usiądzie,
Śpiewają pieśni w tak żalobnym tonie
Jak konające na wodach łabędzie.
Dla niej i za nią niech nam serca ranią,
Ogień nie zgaśnie w wiernych apostołach.
Szyderstwo podłych poniesiem na czołach
Dla niej i za nią,
A nie unizym do stóp carskich głowę,
Bośmy unieśli dumę narodowe,
Bez której podłe dusze się pogania.
Śmierć nam nie straszna, złe życie straszniejsze.
Śmierć to marzenie nasze najpiękniejsze –
Dla niej i za nią.

SOWIŃSKI

Tam zagrzebane tyłu set ciała, imiona:

Dusze gdzie? nie wiem...

Ad. Mickiewicz

W dniu onym słońce dziwną pogodą jaśniało.
Sowiński stał w okopach, oparty o działo,
Przy którym nieodległe granaty rozbite
Leżały, już ostygłe i w ziemię zaryte,
Kilka strzaskanych lawet i koła armatnie;
Nietknięte bowiem były dwie tylko ostatnie,
Reszta od kuł pocisków poszła między trupy...

Szeregi nieprzyjaciół jako mrówek kupy
Poczęły się poruszać na linii odległej;
Te się w szyki zbierały, inne w oddal biegły,
Inne stały bez ruchu jako drożne głązy,
Czekając, rychło wodze wydadzą rozkazy.

Tymczasem przed szeregiem długim, wyciągnionym
Pop ruski w czarnych ryzach, ze srebrnym ikonom
Zachęcał do odwagi niezliczone hufy,
Oparte o błyszczące karabinów lufy.

Nareszcie spod namiotu w samym skraju błonia
Adiutant w piórach wybiegł, szybko dopadł konia
I z wydobytą szpadą, która w słońcu świeci,
Puścił się tak pośpiesznie, jak chyba śmierć leci.

W okopach braci naszych ledwie garstka mała
Ściśniętymi szeregi przed kościołem stała,
Kędy w głębi, schylony na ołtarza progi,
Z białymi jak śnieg włosy kłęczał wódz bez nogi.
Na wszystkich twarzach polskich takie męstwo lśniło,
Takie nietrwożne serce pod mundury biło...
A groby się garbiły pod żołnierzy stopy
I krzyże wystawały wyżej nad okopy.

A wtem nagle pod słońce, co się z chmur odwiało,
Dym jak piłka wyleciał, rykło pierwsze działo,
Za nim drugie, dziesiąte – i anioł ognisty
Począł szarpać powietrze śmiertelnymi świsty.
Upada pierwszy granat, zarywa się, miele,
Rzyga ogniste iskry z ściśniętej gardziele,
Pęka – i jako wichur, kiedy wpadnie w drzewa,
Pierwsze gałęzie kruszy, liść obfity zwiewa,
A nim harcować pocznie na szerokim łanie,
W drużynie drzew niezwykle czyni zamieszanie:
Podobnie granat mężnym hufcem zakołysze;
Miejsce zmarłych zajmują wierni towarzysze,
Równają się szeregi, porządek ten samy,
Rzekłbyś: na Saskim placu... gdyby nie krwi plamy.

Krótko trwała piekielna bitwy kanonada.
Powietrze się oczyszcza, dym i proch opada –
I naraz, jak daleko sięgną wrogów szyki,
Po wszystkich liniach dzikie podnoszą się krzyki...
Zazgrzytały bagnety w blasku słońca białe
I pędzą szybkim krokiem jak fale na skałę...

I jako fala morska, co się w biegu pieni,
Rozbija pierś wzburzoną o stałość kamieni,
Tak szeregi Moskali, powitane strzały,
Jak prędko się rzuciły, prędeż odpadały...

Rozbite dzielnym ogniem walecznej piechoty,
Na głos bębna moskiewskie znów się wiążą rotty;
Karabin naprzód sterczy, szumi dzikie: „Hura!”
Spod nóg lecącej hordy wstaje pyłu chmura.
Już blisko, ziemia jęczy pod ludzkimi stopy,
Już twarze ich rozpoznać patrząc znad okopy –
Blade, zęby ściśnięte lub rozwarte wrzaskiem...
Poczernieli od dymu, okurzeni piaskiem.
– Ognia!... I jako szuler gdy karty rozłoży,
Linia trupów się kładzie, straszna jak gniew boży;
Cofają się, wracają w strasliwym nieładzie:
Szczękły cyngle walecznych... Nowy wał się kładzie.
Co jeden szturm się cofnie, następuje nowy.

Słońce się południowe podniosło nad głowy,
Obojętne, czy cnota, czy zbrodnia przeważy.
Od nieustannych strzałów karabin dłoń parzy.
Lecz dopokąd ostatni ładunek w tornistrze,
Nie ustąpią żołnierze, prawi polscy mistrze:
Żołnierz szarpie ładunki, stemplem w kulę dzwoni
I pierś rozkrywszy śmierci, sam śmierć trzyma w dłoni.

Strzał po strzale wciąż pęka w pierś moskiewskich chłopów,
Bronie i ciała zmarłych lecą do przekopów,
Przejdźcie już ułatwione, faszyny nie noście,
Dalej – po zwłokach braci, po umarłych moście!...

Ucichły nagle strzały, broń o broń zazgrzyta,
Łeb rozbity się schyla, broczy pierś przeszyta...
Niepowstrzymany bagnet szybko tam przeciecze,
Gdzie wolność wejść nie mogła ni czucie człowiecze.
Przez chwilę wciąż się wznoszą karabiny w słońce,
Ciepłą purpurą cieką szlifowane końce –
Gdyby szereg odmienił świeży zastęp bratni,
Gdyby jeszcze walecznych... niestety! ostatni.
Ostatni na okopach przy wolskim kościele,
Lecz nie ostatni w Polsce wolności czciciele.
Pokąd niewieście polskiej czucie w piersiach wzbiera,
Pokąd ta pierś pracuje, wolność nie umiera.
Niemowlę, które pokarm przyjmuje z jej łona,
Wie, że Polska zgnębiona, lecz że niezwalczona,
I potąd będzie szarpać te moskiewskie pęta,
Pokąd cię nie ujrzymy. Matko nasza święta!
Parci siłą przeważną, ustępują kroku,
Upatrując nadziei w żywym wodza wzroku.
On z bagnetem w pośrodku ściśniętego koła
Do ostatniej fortecy wchodzi, do kościoła
Na krzyki ni na ogień moskiewski nie zważa...
Ginie garstka walecznych – spadł Chrystus z ołtarza
I dłonie, wyciągnięte nad narodem chwały,
Na długie dni niewoli rozprysły w kawały.
– „Przebaczenie!... Przebaczy wam łaskawość cara...
Przebaczenie posłusznym, buntownikom kara.”

– „Ognia, ojczyście wiaro!...”

Panewka zabłysła,
Dym poszedł pod sklepienie, ostra kula śwista,
Potem druga – za trzecią na ołtarza progi,
Ostatni z bohaterów, upadł wódz bez nogi...
Siwy żołnierz, ojczyźnie oddany do końca,
Ostatni na smętaru wierny jej obrońca,
Z przyrodzoną dobrocią polską, prostoduszną,
Z drużyną żołnierzy, rozkazom posłuszną,
Na stopniach marmurowych, wśród dymów obłoku,
Strzałami poszarpaną chorągiew oddziału
Martwą przyciska ręką ku martwemu ciału,
A blask na osłupiałym jeszcze świeci oku,
Jak gdyby dusza, pole opuszczając krwawe,
Zostawiła ojczyźnie wszystko, nawet sławę.

Skończone!... Tylko ptactwo zbiera się złowieszcze
I tylko krzyże mogił coś tam mówią jeszcze...
Ciał mnóstwo, krzyżów mnóstwo, skorupy granatów,
Groby, groby i groby, i tęskna woń kwiatów...

UTWORY Z LAT 1852-1860

DUMKA WYGNAŃCA

Na dolinie, na zielonej,
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole,
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.
Nawet kwiatki także prawie
Na pagórku, na przydrożu
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosna w zbożu.
Gdyby jeszcze tam, na boku,
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
To bym myślał, że już w kraju.

Jaka cicha szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje...
Czemuż to nie moja matka?
Czemuż to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy,
Czemuż się nie cieszę z wami?
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinał skrzydła utrudzone;
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?
Płyńcie! płyńcie, łyż tęschnoty,
Nieutulne łyż tułacze,
Może jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

ZŁOTY KUBEK

W szczerym polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liśćkami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała znad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:
– Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Tylko, proszę, zrób mi ładnie.
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie,
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

– Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,
A pod spodem małe dzieci.
Ale czyjeż ręce, czyje,

Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotym denku przejrzyć lice?
– Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.
Złotniczeńku, patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.

NA WYJEZDNYM Z FONTAINEBLEAU

Bywaj mi zdrowa, mała moja celko,
Gdzie mi się wiodło na lirze pastuszej,
Kędy z niczego miałem radość wielką –
Z przędzy wysnutej na pociechę duszy...
Dziwna to sprawa, czemu wśród niedoli
Człowiek nie czuje, że go serce boli,
Jeżeli kocha i jeżeli wierzy;
Wiedząc, że wszystko od Boga zależy
I od natchnienia, jakie w serce poda,
Płynie przez życie spokojnie jak woda,
A jeśli czasem na piasków mieliźnie
Po wierzchu rzeki chmura się prześliźnie
I barwy niebios na chwilę poszarzy,
Z cichą pokorą przyjmie, co Bóg zdarzy.

Bo i cóż robić, gdy tak Bóg przeznaczy,
Że żadną miarą nie można inaczej?
Pracować szczerze i żywić nadzieje,
Że przecież ziarno niepróżno się sieje
I że – da Pan Bóg – po biedzie latosiej
Polska pszenica pięknie się wykłosi!
Że gdy przeminie dopuszczenia zima,
Żadna moc polnej runi nie powstrzyma!
Ale siać trzeba, kmieciu ty, Adamie,
Bo nie na próżno Pan Bóg dał ci ramię
I nie na darmo różne dzieli dary
W miarę zasługi i w miarę ofiary.
Przy tym okienku, za którym się ślania
Płacząca wierzba, drzewo pożegnania,
Jakież to myśli snuły się o wierze –
Złote w poczęciu, szare na papierze!
Bo gdzież to można sposoby ludzkimi
Oddać po ziemsku to, co nie ze ziemi?

A tu w ogrodzie pod starą jabłonią,
Gdzie kwiaty pachnią i pszczoły się gonią,
Czegom nie marzył! Za szczęsnym powrotem
O dużym dzbanie i o miodzie złotym,
O dobrych kmieciach i szlachcie poczciwej,
Także o pewnej Hannie urodziwej,
Która szczęśliwa, jak to każda młoda,
Lirence mojej chętne ucho poda
I do napoju, co serce pociesza,
Jeszcze i uśmiech życzliwy domiesza...

Bywaj mi zdrowe, spokojne ustronie!
Szerokim światem znowu wiatr pogonię,
To, com ukochał, za chwilę porzucę,
Zaczętej nawet pieśni nie donucę.
Nutę serdeczną przerwałem w pół brzęku,
Lira kochanka wypadła nu z ręku,
A szemrząc w duszy nie dograne słówko
Patrzy się na mnie z żalną wymówką.

Zostań, lirenko moja ty pieściwa!
Poranny wietrzyk niech na tobie grywa,
Poranny wietrzyk ojczystej dąbrowy
I ten szumiący długi liść wierzbowy,
Którym znajome wszystkie moje troski –
Miłość ojczyzny, tęsknota do wioski
I spokój, spokój, który miłość wlewa.
Zostań, lirenko, pod opieką drzewa,
A ja po czasie powrócę do ciebie,
By znowu śpiewać o Polsce i niebie.

NA KOLUMNĘ WANDOMSKĄ W PARYŻU

Więc nad Sekwaną przechadzam się smętny,
Na wpół umarły między żyjącymi,
I wokół siebie rzucam wzrok niechętny,
Jak duch bez nieba – albo człek bez ziemi,
I dziwne myśli snują się po głowie;
Gromady wojska, obozy, napady.
Przebiegam – krwawe zostawiając ślady,
Potratowaną ziemię – i pustkowie...
Wzorem Zwycięzcy, co wystąpił dumny,
Twarzą w twarz słońca, i stoi spokojny,
Jeden na szczycie brązowej kolumny,
Ulanej z armat wrogów, jak Bóg Wojny.
Gdziekolwiek wzrokiem rzucę, z każdej strony
Gwałtem się w myśli jego chwała wtłacza:
Tu orły wzięły złote wieńce w szpony,
Tam się zwycięski jego łuk zatacza,
I pytam: Czy liż ciebie wiodła chwała,
Ta marna żądza dziejowego blasku?
Czy iście wyższa wola ciebie gnała
Po lodach Moskwy, po egipskim piasku,
Na Kapitelu prowadziła wschody
I na szerokie oceanu wody?
Na ciebie, mężu z żelaza i spiżu,
Dowódcę ognia, spoglądały wieki;
Niewolnik ciężkie przecierał powieki,
Wieczny męczennik stojący przy krzyżu
Przeczuwał w tobie odpocznienie ciche –
Gdybyś ty, Wielki, nie wpadł w małą pychę
I nie zapragnął z złotych liści wieńca,
I hermelinem ramion nie okrywał,
Ty, coś się rodził na wieków młodzieńca –
Pierwszy zwycięzca, który nie zdobywał...
Gdybyś swej świetnej gwiazdzie niebios wierny,

Innej miłości nie pragnął przez życie,
To uwolniony z więzów świat obszerny
Byłby cię widział z gwiazdą na błękitcie.
Lecz i ty w dumie wyszedłeś na boga,
Wieczność za chwałę oddałeś widzialną,
I wystawiono-ć bramę tryumfalną,
Przez którą, wodzu, nie do nieba droga.
Dziś znasz swe grzechy – uwolniony z ciała,
Patrzysz z powietrza na swych czynów ziarna,
Widzisz, jak marną jest cesarska chwała,
Jak bez twej gwiazdy każda głowa marna;
Widzisz, że purpur nie dodaje wagi,
I wiesz, dlaczego Bóg na krzyżu nagi!
O wielki wodzu! Masz grób porfirowy,
Cesarskim płaszczem twą okryli trumnę,
Cesarski wieniec świeci z twojej głowy
I wieniec bitew otacza kolumnę,
A przecie duch twój przed mymi oczyma
Oblókł się szarą umartwienia chmurą,
Jakby nad tobą cień przeciągał górą,
Niezwalzonego wielki cień olbrzyma;
Czasami tylko jakiś blask przelotny
Pada na lice smętne wielką ciszą,
Gdy w wirze globu ujrzysz grób samotny,
Nad którym złote wierzby się kołyszą...
Wtedy cię widzę z mej ziemskiej oddali,
Jak się przybliżasz do świętego grona,
Gdzie Genowefa przedzie na wrzeczona,
Joanna ogień świętych uczuć pali;
Kędy Kościuszko, na którego ciało
Duchowe wszystkie złożyły się cnoty,
W morzu jasności wznosi głowę białą,
Uśmiechów pełną jak drgnienie prostoty,
A w dłoniach dzierżąc szablę wyżej czoła,
Którego tęcza przesłoniła bliznę,
Zda się, do Boga rozmodlony woła:
Pozwól raz jeszcze bić się za ojczyznę!
A myśl ta, w wiecznych pałaca się sferach,

Duchową gwiazdą nieśmiertelnie mruga
I jak łąza płynie, jak dziejów noc długa,
Rozbudza życie w młodych bohaterach
I nie dozwala zapomnieć zatraty
Wolności świętej i kraju całości,
I sprawia, że te pochylone chaty
Często anielskich oglądają gości,
Których pieśń dzwoni o ojczystym prawie,
Rześka, czarowna, a pełna kolorów,
Wonna i błoga jak konwalie borów,
A pełna słońca jakby piórko pawie.
Ku nim zwrócony płyniesz tak dostojnie,
Mijasz obłędne w swej podróży szlaki,
Jak po nużającej, długoletniej wojnie
Płynął Odysej do cichej Itaki.
I serce moje snuje dumę złotą,
I wschodnim wiatrom dobrą myśl powierza,
Że się pod niebem jasności sprzymierza
Męska potęga z dziecinną prostotą.
I upragnionym bliskich czynów duchem
Wyglądam, komu śpiewać pieśń w tym czasie,
I mimo woli idę za pastuchem,
Co w naszych borach białe owce pasie.

WINCENTEMU POŁOWI
Z Rzymu 24 kwietnia 1856

Do młodych wspomnień sercu wracać błogo
Oddalonemu od własnego dymu.
Do Ciebie, Ojczy, każdą idę drogą –
A nie do Rzymu...

Coś mi tu prawią dobrzy ci Rzymianie,
Że każda wiedzie do Wiecznego Grodu –
A mnie rozlana mgła po naszym łanie
Ciagnie ku Wschodu...

Wawel krakowski moim Kapitelem,
Miast Forum – jeden tam z targowych płacy;
I rymy cieszą, ale mój Horacy
Zowie się – Polem!

Gdym zawędrował raz pierwszy do Ciebie,
Przed swym zacisznym domem stałeś w górach,
A miesiąc chłodny to leciał po niebie,
To krył się w chmurach.

Szarzały góry po dalekim kresie,
Swobodne krzyki leciały od wioski,
A mnie się zdało – że to Czarnolesie
I Kochanowski.

Do twojej piersi garnąłem się, młody,
A kto ja taki, tyś się i nie pytał,
Tylkoś mnie w progach wiejskiej swej zagrody
Sercem powitał,

Prosto, poczciwie – pychy ani cienia,
Choć czoło złotym kraj otaczał liściem –
Jak gdybyś czekał u domku przedsienia
Za brata przyjdziem.

I brat Ci przyszedł na spoczynek krótki,
Biedny, postawą ni słowem nie błyskał,
Lecz Tyś snadź dojrzał na nim Twoje smutki,
Ta i uściskał,

Podzielił chlebem, posadził za stołem
I w oczy patrzył, a badał słów dźwięku.
Widzę Cię, widzę z podpartym na rękę
Szlachetnym czołem...

Szczęsnym ja byłem, jakby w siódmym niebie!
O dniu ty błogi, toż mi jeszcze wskrzesnij!
Patrzyłem w Ciebie i słuchałem Ciebie:
Gdybyż coś z pieśni...

I oto – radość nad wszelkie radości:
Nie drukowaną jeszcze *Pieśń o ziemi*
Tyś mi odczytał, najlichszemu z gości,
Usty złotemi!

W uszach mi dzwoni Twój akcent Litwina,
Co mi rwie serce – a Bóg że wie, za czym...
W którym się puszcza szumna przypomina
Ze źródeł płaczem...

Słuchałem: ziarna złote a przebrane,
Nie słowa były, a osoby żywe
I wichry szumne, i świty rumiane,
I dęby krzywe.

Bóg mówi, Juda: co wyrzeczże słowo,
To nie głos leci, a Seraf skrzydlaty:
Tak z Twojej pieśni z każdą pieśnią nową
Szły żywe chaty.

Niby to słowa, a coś w uchu dzwoni
Jakoby pacierz staruszka poranny;
Niby to słowa – a jak tętent koni
I śmiech gdzieś panny...

Kochaną postać Twą widuję czasem,
Gdy wyobraźnia do was mną pomiecie:
W dolinie rzeka srebrnym ciągnie pasem,
Cicho we świecie...

Miesiąc na niebo wytacza się jasny,
Smug się perłami rosy w oddal świetni...
Ten miesiąc słucha Twojej pieśni własnej
I dąb stuletni,

Słucha Cię ziemia, bo Ty śpiewasz o niej,
Słucha Cię niebo i Tobą weseli –
I moja dusza łakoma tam goni
Takiej niedzieli...

Jeśliż Cię kiedy zobaczę, usłyszę?
O doświadczony przyjacielu młodzi!
Wiara mi śpiewa, nadzieja kołyszce,
A czas, ot, schodzi.

SUPER FLUMINA BABYLONIS

Nad smutnym brzegiem babilońskiej rzeki,
Tam siadywali my i wspominali
Na ciebie, Syjon, i łzy wylewali
Z nabrzęklej łzami bujnymi powieki.
Z harf, zawieszonych na wierzbowe drzewa,
Strun potarganych ciągnęły się końce;
I urągali nam, że lud nie śpiewa
I że te harfy wiszą tak milczące.
A jakoż śpiewać nam na ziemi cudzej,
A jako palce kłaść na struny złote,
Kiedy królowie niegdy, ninie sładzy,
I jedne znamy wygnaństwa tęsknotę;
Kiedy nam słowa wzdychanie zaparło
I widowisko martwych niemowlątek,
Których tak wiele na tych brzegach marło
W doczekiwaniu dni weselnych świątek.
O! niech wprzód język zeschnie nam na skórę,
Nim zaśpiewamy, utrudzeni żalem,
Niech wprzód prawicę zapomniemy wtóre,
Nim utraconą świętą Jeruzalem.
O! ziemio ojców, niech nas pomsta kosi
Jak zeschną trawę kosarz letniej pory,
Jeśli, wygnańcy na tych brzegach bosci,
Przywdziejem na się ludów tych bisiory.
Niech nas gniew boży okryje jak morzem
I powytraca do ostatniej głowy,
Jeśli na czele szczęścia nie położym
Syjonu, świętej góry Dawidowej.
O, Babilonie! o, ziemio przeklęta,
Na którą oczy tyle łez wylały,
Szczęsny, kto porwie twoje niemowlęta
I jak skorupy roztrąci o skały.

ŁZY

Gdzie ta chatka mchem obrosła,
Co mnie wychowała?
Gdzie jabłonka ta wyniosła,
Co w ogrodzie stała?

Gdzie to źródło żywej wody,
Spod ziemi bijące?
Gdzie te myśli dziewczki młodej
Jak kwiatki na łące?

Chata – w gruzy obalona,
Źródła – bić przestały,
Jabłoń – w próchno zamieniona:
Jedne łzy zostały.

DO* [CYPRIANA NORWIDA]

Tobie, coś przebył oceanu głębie,
Podróżny Panie,
Postylion, a nie Wenery gołębie,
Niesie pisanie.

Otwórz i czytaj, jeśli cię nie zraża
Poziomość człeka,
Który pod bramą rzymskiego cmentarza
Na Polskę czeka.

I ciekawego nie ma nic powierzyć,
Roniąc łzy rzesne,
Prócz chyba tylko, że szczęściem jest nie żyć
W czasy nieszczęsne.

I już nie żąda rady ni przewodu
Zestarzan w bólu
Konającego sierota narodu;
Tyle, mój królu.

Innemu dane zostało zwyciężyć,
Więc cześć zwycięstwu.
Mnie dane było lekkością zaciężyć
Polskiemu męstwu.

A ja myślałem, że tę lekkość ptaszą,
Skrzydło żurawi,
Na postrach wrogom w czystą zbroję naszą
Husarz oprawi.

Palec na ustach, a cóż komu na tem,
Indziej to widzą,
Tu słuszna milczeń, zobaczym za światem,
Kogo zawstydzą.

Do zobaczenia, rycerze, poeci,
Mędrce, prorocy;
Do zobaczenia! Przelatujmy, dzieci,
Jak gwiazdy w nocy.

WIERSZE Z LAT 1861-1970**PIELGRZYM ZE ZIEMI UCISKU**

Na obcej ziemi człowiek nieznajomy –
Kto, alboż wiem? –
Samotny patrzył na olbrzymie łomy,
Strudzony dniem:
Na obaliska niegdyś dumnej Romy,
Zagrzęźłej w złem,
I na dzisiejsze ujęte ogromy
Wieczystym snem.
I na westalek świątynię nad rzeką,
Kolumny krąg,
Na bluszcze, które wciąż unasza lekko
Powiewów ciąg,
Na wody Tybru, co się mętnie wleką
W odległość łąk,
Na blade róże, co po płotach cieją,
Jak okiem sięgał...
Pielgrzym to, widno po prochu kurzawy
Na zwojach szat,
Pielgrzym to, widno po tęsknocie łzawej
Znać długich lat;
Patrzył i laur tej znikomej sławy
W oczach mu bladł,
Każda kolumna w szacie modro-mgławej
I każdy kwiat.
Z dala za Tybrem wśród Kampanii Rzymu
Ubogi lud
Przy grubych kłębach wiejącego dymu
Pilnuje trzód.
Wietrzyk pieściwy stamtąd niesie k'niemu
Zapach jak miód

I szum wysokich sosen baldachimu,
Zwisłych na wschód.
Wszystko to w oczach pielgrzyma się biedzi
I zlewa w mgłę,
Znajomych wzgórzy dusznym okiem śledzi:
Oneż to? nie!
Więc idzie dalej przychodeń nieznany,
Daleko, het...
Złękło się dziecię, gdy po cegłach ściany
Cień jego szedł...
Dalej i dalej, i tak już bez końca
Po świecie krąż,
Aż czoło głuza otoczy milcząca,
Wieczności wąż.

ŚPIEW NA CZEŚĆ 25 LUTEGO 1861 R. W WARSZAWIE

Dojrzewa owoc łez,
Już bliski bólów kres,
 Jęków i łkań!
Zdziwiony słucha wróg,
Znad grobu woła Bóg:
 Łazarzu, wstań!

Pochwalne hymny nuć,
Spowicia grobów zrzuć,
 Świadectwo złóż,
Że jest na niebie Pan,
Że wielki ból Mu znan,
 Żeś wezwań już.

Patrz, jaki wkoło dziw,
Żeś westchnął, żeś już żyw,
 Łazarzu mój!
Toż jam obiecał ci,
Że przejdą bólów dni,
 Ze śmiercią bój.

Mówiłem do twych usz
Harf brzękiem, grzmotem burz:
 Tak mówi Pan,
Co bóloom stawia kres,
Co liczy krople łez
 I ilość ran.

Powstałeś, jakoś padł,
I wróg przed tobą zbladł,
 I dał ci cześć;
Święty go przejął srom,
Skłonił się twoim łzom,
 Ócz nie śmiał wznieść.

Wstydział się swoich strzał,
Boś z naga piersią wstał,
A miecz twój: jęk.
I tak się spełnił cud,
I stopniał lodów lud,
W łez morze zmiękł.

Bezbożnych z dala rzesz,
Mówilem: wierz! o wierz!
Jam stworzył świat,
Jam ci odebrał dech,
Proch na cię miótł i śmiech
W żałobie lat.

Byś poznał, ludu, szloch,
Byś poznał, żeś jest proch,
Proch, cień i nic.
Tak pychy twojej róg
Ukrócił w grobach Bóg,
Twych butność lic.

W grób twój złożyłem zwłok;
Lecz ducha-m obmył wzrok,
By przejrzał raz
W świat potęg, cudów, sił,
Byś z źródła prawdy pił
Na przyszły czas.

I tyś jak jeleń kniej
Pił z czystych źródeł jej,
W jej patrzył zdrój!
I cały grobu wiek
Tyś krzyża mego strzegł,
Łazarzu mój!

To dziś już grobów dość.
Skruszona wrogów złość,
Coć gniotła krtań;
Spowicia grobów złóż,
Łzom twoim koniec już!
Łazarzu, wstań!

O KRAJU

Oj, przy zdrowiu szczęścia nieco,
A do szczęścia wieleż trzeba?
Kraju, gdzie łuczywem świecą,
Gdzie się w niecce człek koleba,
Gdzie zawłóczy myślą pole,
Na mogiłkach pieśni śpiewa,
Całe życie łyzy zasiewa,
A zbiera niedolę.

– Prawdać, jest i tęsknić za czem,
Suszyć duszę jakby trzaskę
I wypłakać duszę płaczem,
A jeszcze za jaką łaskę:
Za te śniegi, co cię mrożą,
Za te głody, co cię głodzą,
Za te nędze, co się mnożą,
Co się same rodzą.

– O, jest za co, miły druhu,
Za to, co ci do ostatka
Dzwoni wciąż, a dzwoni w uchu:
Matka, matka, matka, matka!
Choćby nie wiem jaką była,
Ona ciebie porodziła –
To choć w łachman przyodziana,
Choć się łąty na niej trzęsą,
Ku niej mrugasz łzawą rzęsą
I mówisz: kochana!

Choć jej ręce pokostniały,
Co cię dzieckiem kołysały,
Przecież jest potęsknić za czem
I obrócić się do kogo,
I wypłakać duszę płaczem,
Ach, i umrzeć błogo.

O POWROCIE DO KRAJU (Odpowiedź na list)

Wolny próżności, nie mierząc wysoko,
Kiedy mi wszakże wybierać jest danem,
Wolę być wiosną niosącym bocianem
Niżli zimowym krukiem albo sroką.
Ja nie chcę z psami, jak ów ród plugawy,
Drzeć się na śmieciach o kęs marnej strawy
Ani jak sroka, nad życia zagładą,
Siedząc na płocie, skrzeczeć: goście jadą!
Ja chcę jak bocian, na gniazdo ojczyście
Dziób wyciągnąwszy i skrzydła sążniste,
Lecieć wśród białej bocianów gromady,
Kiedy czas przyjdzie sprośne łowić gady;
Bo nie dla pychy ni żadnej ozdoby
Dano nam skrzydła sążniste i dzioby.
Kiedy czas przyjdzie, kiedy boże słońce
Z kurzawy śniegu gładkie czoło zwlecze,
Kiedy ze sosen lód soplasty ściecze
I staw zamarzy pęknie w strzał tysiące,
Gdy tchnienie życia skruszy śmierci zbroje,
Wtedy ja klasnę z góry: gniazdo moje!...

A starej brony nikt mi nie zabierze,
Ani obawy żadnej o to nie ma:
Siwy dąb polski oburącz ją trzyma
I jest ktoś jeszcze więcej, co jej strzeże,
Ktoś, co się modli od zmroku do świtu
W pasie z gwiazd jasných i w sukni z błękitu.
Wrócę ja, wrócę, ale bez pośpiechu,
Wiosną przyniosę, a nie torbę śmiechu,
I nad ojczyzną, nad tym białym grobem,
Zdrowie potężnym zaklekoczę dziobem –
Aż echo mego bocianiego klasku
Pójdzie po brzozach stojących na piasku,
Których po wzgórzach stoją białe rzesze,
A wiatr im co dnia złoty warkocz czesze.

UTWORY Z LAT 1871-1893

WIEŻA EIFFEL Wyjątek z poematu Mefisto

Dalej i dalej w świat z rozdartym łonem,
Nad Morzem Martwym dziś, jutro Czerwonem.

.....

Stolica świata nie traci z swej siły...

.....

Tam gdzieś z otwartej sterczy kość mogiły,
Tam rozebrane z dział warowne wieże...
Kartaczone, poskładane w sęgi,
W Berlinie żołnierz landweryzysta strzeże,
Pomniejsze w pyszne przelane posęgi
Moltków, Bismarcków, Werderów, Stejnmetzów,
Inne w ogniste ciągną paszcze pieców.

Ludzie i ludy odjąć się nie mogą
Prawu zniszczenia i odmianom losu:
Dziś – głośnie, huczne, jutro – już bez głosu,
I wszystko w cieniu schodzi zwykłą drogą;
Ale nim zejdzie, nim wieści zaginą
Sławy, znaczenia, wieńców i kadzideł,
Poezja w zorzy malowanych skrzydeł
Złociste loty niesie nad ruiną,
Zmarłemu życie powraca na chwilę
W obrazie pieśni, w głazie i w teatrze;
Potem się cisza wiesza na mogile,
Nim zapomnienia mgła ostatek zatrze,
Jeśli... tak, jeśli... Któż przeznaczeń karty
Odczytał wszystkie od końca do końca?...

.....

W bramy paryskiej Wystawy, otwartej
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
Fale narodów płyną nurtem gwarnym
Pod niebem, losem przyszłości ciężarnym.

.....

Geniusz Egiptu na czas niepożyty
Na wstępie burzom wzniośł piramid szczyty,
Które gdy ziemia wciąż oblicze mieni,
Łądy zatapia, zniża gór łańcuchy,
Na nieobjętej pustynnej przestrzeni
W nie zachodzących gwiazd wpatrzone ruchy,
Granitowymi zaryte podstawy,
Poważne kształty wznoszą z piasków ławy,
A w ciemną wieczność płynąc równo z czasem,
Ognistej strefy zdają się kompasem,
Którego igła znad Nilowej rzeki
Znaczy nie świata godziny – a wieki.

Tak równa siła odtrąca obawy
O trwałość bytu w opatrnej naturze;
Słoń z nosorożcem jedno spasa trawy,
Na puklerzowej nosorożca skórze
Oprze się słońca zęb, trąba nie chwyci
I społem ciągną w oddal niesklóconą.

Czasu i gładów nie wyprzeda nici
Nad brylantowe schylone wrzeczono
Okrutne Parki, aż byt się nasz strawi
I chwila czasu w wieczność się przejawia.

Zapadłych wieków chwały i bezwstydy
Przebrzmiały wszystkie i zgłuchły na szlaku,
Cisza owiała ruiny Karnaku...

Od brzegów Nilu z krzykiem: **Piramidy!**
We wrzącym piasku i bitew upale,
Sławą okryci, mkną zwycięzcy Gale
Pod znakiem ptaka, który ranne świty,
Zarumienione opiewa błękity.

Śpiew marsylijski wstrząsającej treści,
Legionów tętent, a gest bohatera
Drzemiących wieków obudzą **czterdzieści**
I ciemne koła oczu ich otwiera.

Jak nad Lemanem na niższe pokłady
W jesienny ranek mgły alpejskie cieką
I szare skały, wzorem starców rady,
W krąg zaciągają, a ich szatę lekką
Promienie słońca wedle boskich wzorów
Bramują niemi tęczowych kolorów,
Wieki, z nieczułych obudzone zgonów,
Szarzeją z grobów setnych faraonów.

I kędyż wami wiatr szalony wieje,
Prochy – tytany, Gale – skarabeje?
– W słońce nam droga z pustyni przestworza,
Drzemiące ludy, zorza! nowa zorza!

.....

Od ciał nam dusze odchodzą tak chętnie
Jak od wymownych ust skwapliwe słowa.
Prawa ludzkości w każdym pulsów tętnie,
Jedno nam Brama, Ała czy Jehowa.
W dłoń broń i dalej z oczy łez pełnemi
Jest Bóg na niebie, a Francja na ziemi.

Schodzono skórznie, mundur, stare klaki,
Bitwy dzień po dniu, sztandar – drobne strzępy;
A zorze dniają, gdzie te pieją ptaki,
Dzień stapa, gdzie te stapają zastępy;
„Etre Supreme – krzyczą – vive!” i nad obszary
W odległość niosą podarte sztandary.

Więc głosy lecą do ostatnich kresów,
Na nieprzerwaną horyzontu głuszę,
Na Ptolomeów tych i na Ramzesów,
Jak wracające do swych mumii dusze,
I w trumny królów, zawarte najszczelniej,
Grzmiące podają słowo: Nieśmiertelni...

Ammon Ra! Słońce! I łódek żagielki
Pomkną po Nilu za ludem nieznanym,
Za bohaterskim, młodym, rozśpiewanym;
Mały ten naród Galów jakże **wielki!**

II

Z brzegów Sekwany, w której fale mętne
Chylą się wierzby jak wdowy płaczące,
Pozornej naszych dni wielkości wstrętne,
Potworna wieża wystrzela na słońce;
Piętrzy się szkielet żelazny olbrzyma,
Którego stopy matka otchłań trzyma,
A nocą gwiazda prześwieca śród żeber,
Jakby z tych szczelin patrzył Ney czy Kleber.
Przy jej rozmiarach zdrobnią! Paryż cały,
Ów tryumfalny łuk cesarskiej chwały
I Inwalidów kościół, i Notrdamy,
Saint Jacques, Lipcowa Kolumna i kramy,
I więcej: Teby, piramidy, File,
Kolońska wieża, mur chiński, gdzie w pyle
Wszystko pode mgłą gęstą się rozściela.

Jako mularze u fal Eufratu,
Francja z wieżycy żelaznej Eiffela
Od końców ziemi strąbionemu światu
Wielkością swoją chce błyszczeć po klęsce
Przed zadziwione niemieckie zwycięzcę
I pychę pychę wrogów upokorzą:
Przebiła Alpy, związała dwa morza,
W nauki świetne, kunsztowne świątynie
Z nowymi mury wchodzi mądrość nowa;
Bóg Nazareński jeszcze tam gdzieś w gminie,
Pod strzechą wiejskich mieszkańców się chowa,
Z wierzchołka wieży na ziemi obliczność
Świeci bóg nowy świata – Elektryczność.

Zadowoleni, uczeni, szczęśliwi
Nad zgromadzoną w poziomach czeredą;
A kto się dziwi, a kto się nie dziwi?!...

Japończyk większe widział cuda w Jedo;
Północny człowiek, ciche pojąc lamy,
Lodowce marzy, śniegów świat polarny;
Indianin życia objawy – **sen Bramy**;
O Wielkim Duchu szepce Murzyn czarny.

I cała ilość narodów przemnoga
Powtarza jedno wciąż: „I któż nad Boga?
Skinie – i w długi dym rozwieje skały,
Skinie – i w płyn się rozleje żelazo...
O! Himalaje, Andy, Cimborazo!
Jeśliż na Paryż On wypuści gromy,
Harmonii wszystkich gwiazd Mistrz – na atomy?”

„**Wielki** ten naród Galów jakże mały...”
Takimi słowy mieszkaniec Orientu
Przymawia z wieży paryskiemu świętu.

W żegludze wieków geniusz, nie rzemiosło,
Do drogi cieniów nad otchłanną nocą,
Nim wieczne gwiazdy stały ład ozłocą,
Promień za igłę wziął, a miecz za wiosło.

Nie w rytm poezji wieża, wynalazki;
Muza, zwrócona na egipskie piaski,
Kędy ojcowie do drogi po sferach
Hermesa zodiak odkryli w Denderah,
Szemraniem liści poźółkłych jesieni
Nie do Francuzów śpiewa – do kamieni.

Poezja Francji oczy pełne żalu
Po znieważonym powłóczy Wersalu,
Kędy w królewskiej sali zwierciadlanej
W lustrach wciąż widzi odbite Germany,
Hełmy błyszczące berlińskich rycerzy,
Miecze wzniesione z plamami krwi świeżej,
Upokorzoną ojczyznę w przedsionkach,
Łunę pożarów nad miast świata miastem.

.....

Gdzieżeś, o cieniu w zbroi i koronkach,
Słońce, nazwane Ludwikiem Czternastym?

Cienie Kondejów, Wobanów, Wandomów?
Jakaż to płóchej fortuny odmiana!
Rzesza niemiecka, wśród dział głuchych gromów,
Nowego wita dziejów Karlomana.

Gdy rada mężów, poważnie kamienna,
Diugesklin, Tiuren, Rolandy, Bajardy,
W cieniach pałacu wspomina miecz Brenna,
Litości pełna, jeśli nie pogardy,
Dla płóchej hurmy, co gwarna a skrzętna,
Słodząc gorycze niezaszczytnej walki,
Wystawia wieże i wystraja lalki,
Okrutnej klęski i krwi niepamiętna;
A gdy w powietrzu jęczy głos: **Niestety!**
W wielkiej kostnicy tańczy menuety.

O Francjo! złotych żniwiarko wawrzynów,
Orlico wartkich po przestrzeni lotów,
Gdzie sława twoja, ziemio męskich czynów,
Napoleonów, Hoszów, ziemio grzmotów,
W sferęż ty idziesz bogów czy helotów?...

Gdzie twoja chwała nieskażona, czysta?
Ziarna złociste podły czas roztrwania,
Na wieży Eiffel staje duch Mefista
I na wschód, zachód poleca się, kłania,
Idei wielkiej kłamstwo na porządku,
Pyszna Wystawa, poemat bez wątku.

Błądzi, kto gniewny sąd wygłasza rączo
O sprawach, które nigdy się nie kończą,
Lecz kto tę starga gmatwaninę krwawą?
Rzeczywistości! snemżeś ty czy jawą?
Burza i lament, a wśród łez i krzyków
Nie struny harfy, słyszę brzęk **srebrników**.

.....

Godzino myśli, męko rzeczywista!
Za Ren wędrowca wieździe kto? nie powiem,
A cień mu wszędzie wije się Mefista
I wiatr zawiewa siarką i ołowiem.

Wielcy współcześni, ach! ojcowie mali!
Wieża pod niebo wzbiega... idźmy dalej,
Dalej i dalej, kędy pęka granit
Na głosy żalu złotych Oceanid;
Tam, gdzieś daleko u germańskich krańców,
Nad sinym morzem w szum i wichrów zamęt,
W ciche westchnienia, w konania wygnańców
Wplatają pieśni łez akompaniament
Oceanidy, suma nędzy głosów,
Echa tragedii greckich Eschylosów.

DWAJ TOWIAŃSZCZYCY
(Adolf Rozwadowski i Ludwik Szejczer)

Wspomnienie z czasów Komuny Paryskiej

*Ils meurent tour a tour, et, renaissant plus beaux
Pour disparaître encore dans leurs sanglants tombeaux,
Ils lacerent ton coeur mieux que les Euménides
Ne flagellent les Morts aux demeures livides!
Oh! qui soulèvera le fardeau de tes jours?
Niobé, Niobé! Souffriras-tu toujours?
Leconte de Lisle*

I

Na jednej z ulic nędznych za Sekwaną,
Dziś już tej pewno i nie ma ulicy,
Dwaj się gnieździli starzy towiańszczycy,
Których w wychodztwie znano, szanowano
I wyśmiewano, jak to u nas bywa.
Lekkość, a lekkość wiadomo, jak chciwa
Na lada dowcip, którym pamięć żywi...
Śmieją się radzi z pocziwych pocziwi
I niepocziwi... z śmieszności i z części,
Z modliwy, z pracy, z natchnień i z boleści.

Ludwik i Adolf, obaj dobrze siwi,
Ten prosto, drugi trzymał się pochyło;
Tego się czoło łysiną świeciło,
Ów jako drzewo, które czas wykrzywi,
Końcami długiej, nie strzyżonej brody
Zamiatał, idąc do mieszkania, schody.
I stąd portierka domu (kabalarka)
W jednym widziała wizerunek Marka,
Drugi jej Pawła przypominał wiele,
Stojących w niszach na starym kościele.

A że jej przerwy nie czynili we śnie,
Wracając zwykle do kwatery wcześniej,
Okazywała dobre dla nich chęci
I przed ciekawym świadczyła muszarem,
Że za Sekwaną w obwodzie ich starym
Są to jedyni prawdziwi dwaj święci,
Że ich widuje zawsze u roboty,
Że nie bigoty są i nie kagoty.

Znałem ich, żyłem przez czas długi z nimi.
Gdy była mowa o rodzinnej ziemi
I o przyszłości, Ludwik w zapał wpadał,
Adolf zaś cicho pod oknem przysiadł,
Z brata na chwilę nie zdejmując oka,
Wpatrzony w lice mówcy jak w proroka.

Na emigracji rzadko się przytrafi,
Byś nie był zmuszeń słuchać biografii,
Więc o fortuny w miłości przykładach,
Jak się królowe kochały w tych dziadach,
Różne historie tej samej natury,
Myśliwcy polscy i... karykatury.

Adolf o sobie, bajkodziejom sprzecznie,
Głuche milczenie zachowywał wiecznie.
Czy się do niego zgłaszała rodzina,
Nie wiem – rodzina prędko zapomina.
A zresztą wielce delikatna strona
Pytanie rzucić: Czy pisała żona?!
Czy brat o bracie myśli w niedostatku?
Był anioł: Maria Boleska, w przypadku...
Pamięć dobroci serce mi porusza,
Jaka to była Polka, jaka dusza;
Poszła i ona...

Wiem, że był w urzędzie,
W trzydziestym pierwszym że wojskowo służył,
Ale gdzie, jak, co? nikt wiedzieć nie będzie.
Jak drugi Korteż nawę wspomnień zburzył
I nieodmienne wziął postanowienie
Zachować o tym najgłębsze milczenie.

Więc gdym wspominał dym ojczystej strzechy,
Zauważyłem tylko półuśmiechy,
Przełom sam sobie wtórzył po rozmowie:
Cierpiełeś dużo, gdyś tak skąpy w słowie.

Jego towarzysz za to mówił wiele,
Kiedy się zeszli bracia przyjaciele:
Nabielak, Rettel, Seweryn Goszczyński,
Belwederczyki, koledzy szlachetni,
Jakby mu z serca odpadł kamień młyński.
Marzenia swoje dziad sześćdziesiątletni
Roztaczał bujnie za Andrzejem Mistrzem
Uczuciem tchnące najżywszem, najczystschem,
Rósł i promieniał na ojczystej dumie,
Jak dziś maleją młodzi na rozumie.

Śród zadumanych towiańszczyków koła
Wieszcz ukraiński pochmurnego czoła,
Jakby z Dnieprowej przywabiona czajki
Dusza Nebaby albo Nalewajki
W pochwie siedziała Polską gorejąca,
W której żywotów przeszłych grzechów strąca;
Bo takie były sądy w owym gronie,
Wierzącym w przejścia ludzkich dusz po zgonie.

Z nim szła rozmowa poważnymi tory
I często głębsza rybka myśli plusła,
Coś jakby echa proroctw Wernyhory.
Wszystko, co polskie – bajki, pieśni, gusła,
Historia, prawo wiązało się gładko,
Żeś się za krajem zwracał jak za matką
I w sercu świeżej nabierał otuchy.
Duchami zwano ich: ej! gdzie te duchy?...
Spokojna wiara – kiedy w innej części
Doprowadzały rozprawy do pięści,
Obraza boska, czasem pojedynek,
Chyba że mówca wykręcił kominek
I przed ostatnim pomknął rezultatem.
Byli i święci... wszyscy dziś za światem:
Heltman, Dmochowski, Ebers, Ulrych, Łuba

(Oficer stary, prowadzący bryki,
Serce anielskie, chociaż mowa gruba,
Bluza, saboty – chłop, fajeczka krótka.
Na tego patrząc, starej Republiki
Zalatywała jakaś gminna nutka).
Zakon, wybrany ze wszystkich powiatów,
Bosych Ojczyzny przyszłej reformatów.

W izbie, zaprawdę nie było przepychu,
Do zrozumienia rzecz. K'temu na strychu
Z nieodgadnionej barwy długiej ściany,
Szarej, papierem kiedyś wyklejanej,
Tu, ówdzie strzępy różnobarwne ciekły;
Więc ruchomości także rejestr mały:
Łóczyńska stare po dwu stronach stały,
Z których gołębie do gniazd słomę wlekły...
Stółki dwa, stolik, papiery i mapy,
Ławka (ostatek nieboszczki kanapy),
Otóż i wszystko, z dodatkiem obrazków
Wileńskiej Matki Boskiej z Ostrej Bramy
I chłopca, biedy polskiej z błot czy piasków,
Z podpisem: „Jezu! zmiłuj się nad nami.”

Częstym tu gościem bywał głód i troska,
Przecież ich ręka salwowała boska.
Grzymała skończył w oblężeniu z głodu,
Seweryn w mrozie spalił bibliotekę,
A śmierć, co z ludźmi nie czyni zachodu,
Jakoś do braci nie przeszła przez rzekę.

I oto we dniu Paryskiej Komuny,
Gdy zatoczone wersalskie armaty
Na komunardy rzucały pioruny,
Dwaj bracia słuchy wysłali na czaty;
Hej, co to będzie? A co będzie, gwarzą:
„Ano przecierpi za winnych niewinny.”
„Co będzie, dnie to następne pokażą.
Francuz nie może dosiedzieć bezczynny;
Lecz bez idei – szaleństwa napłodzi.
Wzięli naukę, im to nie zaszkodzi...”

Bo Francuz, bracie, gdy wlezie w kałużę...”
„To i cóż? Rzuci pół miliona ludzi,
A gdy się w ogniu bitew duch obudzi,
Jak skoczy, to się nie oprze, aż w chmurze.
Lecz dzisiaj w wyższym nikt nie mówi tonie
I przeto różga nie schodzi z ich grzbieta.
Pamiętka sławy po Napoleonie,
Kolumna – padła na słowo Courbeta,
Lecz gdy kolumny duchów spod Marengo
Staną, wnet niższe duchy się rozprzegą.”
„A tak, tak, bracie... Nastaw samowara,

Zimno, to izbę coś ogrzeje para...”
I stary Adolf żwawo się zakrzęta,
W ulicach ciemno, godzina dziewiąta;
Kule ogniste, zataczając łuki,
W pył roztrącają dzieła pięknej sztuki.
Ogień pożaru silny wiatr poddyma...
„A Notre-Dame, bracie?...”

„O! Notre-Dame się trzyma.
Spokojna Pani i na straszną burzę
Świecą jej okien kolorowe róże.
Z placu Bastylli Kolumna Lipcowa
Od dołu ognia okryła się złotem,
Anioł z jej wierzchu we chmurach się chowa,
Jak gdyby skoczył do nieba z powrotem,
Zanika... cienie kształty miasta chłoną.

Widzisz tę babę, furię tę czerwoną
Z oleju garnkiem? za nią z żagwią gamen:
Podpala – słyszysz: Amen, krzyczą: Amen!
Nie robotnicy, nie niebieskie bluzy –
To są galery, bracie, i zamtuzy.
Opoje brzydkie, złodzieje, brudasy,
Biodra krwawymi okręcone pasy...
Jakież to czasy, bracie, jakie czasy?!...

Zaświećże lampkę przed Marii obrazkiem.
Obrazek ten jest, bracie, po Pułaskim,
Gerycza matka, Rejtanówna z domu,

Pomniesz, przyniosła... Podaj okulary.
O! Święta Pani, ratuj od pogromu...
Na oczach krople... zwilgotniał od pary.
O! Matko nasza i polska Królowo...”
Jeszcze modlitwy nie przebrzmiało słowo,
Gdy się chrapliwy ozwał głos przy bramie:
„Otwieraj bramę, bo siłą wy łamię!”

II

„Kto wy?” – „Polacy.”
„Prędzej, bez hałasu.
Ha! podpalacze! Nie ujdzie wam płazem!
Żwawo, hej! żwawo, wojsko nie ma czasu!
Lampa petrolium pełna przed obrazem.
Pod mur, a na cel dobrze brać, żołnierze,
No, dalej, prędziej, stary petrolierze!”
„Francuzi, bracia, miejcież rozeznanie,
Chociaż te piersi nie szczycą się krzyżem,
Wczora my z wojskiem jako chrześcijanie
Staliśmy, walcząc, w ogniu pod Paryżem.”
„Pas de temps, allons, dalej z nim pod ścianę!”
Więc Ludwik: „Bracie, stańże, gdzie ja stanę,
Ot tak, i razem, na apel do Boga!
Czas nam ze świata. Jak droga, to droga!”
„Ave Maryja!”, – I wyprostowani,
Jakby ich olśnił blask Anielskiej Pani,
Dłoń w dłoni, mężni w ostatniej godzinie,
Po raz ostatni zimnymi powiewy
Wypełnią życiem unużone trzewy.
„Żołnierze! prędziej kończyć z tym motłochem!”
„Cel! pal!” – padł wystrzał, zadymiło prochem.
„Niech żyje Francja!” Na okrzyk ostatni
Upadających pod płonące mury
Huk odpowiada w ulicach armatni
I wersalczyków ciągnące tambury.
Wenseńscy strzelcy sprawili się dzielnie,
Gdybyż do wrogów strzelali tak celnie!

Pieniądze mają, Prusom się opłaca,
I mają wolność, lecz wolność ladaco.

„No i cóż dalej? i cóż nasi na to?”

„Ha! cóż mówiłem? Pokażmy raz przecie,
Jaką nas Francja nagradza zapłatą
Za przelewaną za nią krew po świecie.
Zbierzmy się wszyscy, czy mąż, czy niewiasta,
Rozwińmy nasze wolności sztandary
I idźmy środkiem zdumionego miasta,
A zobaczymy, jak nas Paryż stary,
Któremu wieczną to zostanie plamą,
Przed napoleońską będzie zegnał bramą.
Francuz takiego wstydu nie wytrzyma.
Niechaj się tylko emigracja zbierze,
Bo gadaj, co chcesz, a ja nie uwierzę
W miłość moskiewską; zaleźli w kałuże,
Szał, polityka, błędy robią duże.”

„To i cóż? Rzucać pół miliona ludzi.
A gdy się w ogniu bitew duch obudzi...
No, to obacz! Nam pilnować sprawy,
Czy los łaskawy, czyli nielaskawy.
Na śmierć gotowi, a na biedę tchórze,
To może lepiej głodnymi oczyma
Czekać na pensję nędzną w prefekturze.”

„Gadaj – a taki z nimi rady nie ma.”
I tu się mówca pochylił nad szklanką,
Kończąc gawędę znaną Warszawianką:

„O! Francuzi, czyż bez ceny
Rany nasze dla was są
Spod Marengo, Wagram, Jeny,
Lipska, Drezna, Waterlo!”

Skończyłem – smutno gasną stare świece,
Pożółkłe, wiotkie jak ten papier w tece...

PANI HELENIE MODRZEJEWSKIEJ

Kiedyż usłyszę głos, co w duszę wnika,
O czarodziejko narodowej sceny?
W natchnionej piersi jakaż to muzyka!
A jaka władza pięknej Melpomeny!
Ona to serce obojętne widza,
Zakamieniałe na łzy i rozpacze,
Potokiem żywych boskich wód zawstydza,
Tyran jej strzałą ugodzony płacze;
A kto jej służy, kto kapłaństwo sztuki
Szanuje w sobie, zjednywa jej wiarę;
Jedno pałace czyli miejskie bruki
Ręce po złotą wyciągają czarę;
Świat ideałów spragniony, sam w kale,
Marzy o myśli i dzieł ideale.

Tłum widzów wielką wypełnia widownię;
Słuch wytężony, przyspieszone technienia;
Cienie znikome śledzą kroki cienia,
Co ludzkie nędze wydaje wymownie.
I scena zda się wichrową przestrzenią,
A morzem – widzów niecierpliwych sala;
Piersi się wznoszą i łzy się strumienia,
Wicher je sztuki pędzi i oddala;
I widz z artystą ściśle się jednoczy
Jak dwojga istot zakochane oczy.

Za twoją sprawą albo raczej ducha,
Co w piersi twojej dziwne wzrusza tony,
Zawora grobów rozrywa się krucha
I szekspirowskie wstają Desdemony;
Księżyc, jak doża, srebrzy się, wybiela
I chmura błyska jak oko Otella.
Zmieniona rola – i córka Protea,
Już przeodziana z książęcych atlasów,
Wychodzi piękną kochanką Romea,

Zmyśloną gwiazdą niewiadomych czasów.
I oto, zgięty na bluszczowym ganku,
Ten najpiękniejszy włoski kwiat poety
Dłoń lilijową składa na kochanku –
Róża miłości, Julia Capuletti –
I łaje świtom na ojczystych górach
Poprzedzającym ranne słońca loty,
Że złote rąbki malują na chmurach,
Płosząc słowika i Julii pieszczoty.

Za chwilę szczęścia, ach! jakże się płaci,
Jaką rozpaczą, jakim nocnym piekłem!
Za czar godziny Julia wszystko traci,
Noc ją otacza całunem przewlekłym...
Kolumny, cienie... z głazu sarkofagu
Zsuwa się, ciężkie zostawia letargi
I schodzi w cienie, pewna jak odwaga:
Usta ni żalu nie niosą, ni skargi,
Tylko to imię „Romeo”... daremno!
Upadła, widmem rozciągniona białem;
W oczach kochanka już zimno, już ciemno,
Julia się łamie nad Romea ciałem:
Może go zbudzi włosami złotymi,
Może tak westchnie, jak wzdychał pod nimi?

Nad zimnym grobem Romea, Juliety
Kończą się zemsty i długie „niestety”
W sercu się widza na głębiach rozlega
Nad smutnym losem Julii i Montega.
Zmieniłaś rolę – i za tobą wieże
Pod mgliste niebo wznoszą dumne szczyty;
Północnej Danii widzę lodów płyty
I to burzliwych morskich wód wybrzeże,
Gotyckie zamki królów Skandynawów,
Kędy, igraszka księżęcia szaleńca,
Ofelia zielska targa z ciemnych stawów
Dzikiem do sierot odrzuconych wieńca.
Los ją straszliwy z wszystkiego ograbił
I tylko postać zostawił jej piękną;
Dwie jej miłości jednym gromem zabił.

I gdzież są piersi, co z żalu nie pękną,
Patrzac, jak burza unosi straszliwa
Kwiaty i dzieci, i serca czujące,
Jak rozczochrany los wszystko rozrywa
Na brzegi pędząc, gdzie nie świeci słońce,
I jak te duchy, ślepą gnane falą,
Przez wieki lecą, przez wieki się żalą?

Artystko wielka! kiedyż cię zobaczę,
Strojną w eglantyn kwiaty i powoje?
I głos usłyszę, co tak strasznie płacze,
I to „dobranoc” powtarzane twoje,
Gdy z dzikim śmiechem rozrzucasz po sali
Sitowia jezior i różdżki konwalii?
Istne marzenie, z którego po chwili
Zostanie garstka grobowego prochu.
Kto chętny kwiatu, niechaj się pochyli
I ściga echa obłąkanej szlochu.
O sny młodości! na drodze żywota
Nikt was nie oddał piękniej jak ta złota.
Ofelie mglane sen rzucają twarde
I zatopionych wloką szat obłoki;
Julie od świtów odwracają wzroki,
Łabędzie szyje prostują Sztuardy.
I wśród zdumionych widzów twoje czary
Uczucia budzą na głębi serc śpiące,
Pod jakieś smutne prowadząc miesiące,
Gdzie w mgłach Zygmunty świecą i Barbary.
Za twoje czary – obyś nie zaznała,
Artystko wielka, śród życia podróży
Innego wieńca jak ów, którym Chwała
Swych ulubieńców najwybrańszych wita
I innej burzy prócz oklasków burzy.

PUSTOTA

Oj, pustotaż to, pustota!
Otworzyła stare wrota,
Pokazała ząbków rząddek.
Gdzie tu głowa? gdzie rozsądek?
Na takową trudna rada,
Bo się dusi, co zagada,
Wypatrzy się jak na stracha,
„Jak cię zwali?” Ha, ha, ha, ha!
„No jakże cię, dziewczę, zwali?”
Gadaj do niej, gadaj dalej!
Albo wstydem się obleje,
Czerwieni się, gdy się śmieje.

Kto rad wiedzieć, co w tej głowie,
Od niej samej się nie dowie,
Nic tam jeszcze lub niewiele,
Ale w sercu wciąż wesele.
Z czego? niech się kto zapyta:
Że noc schodzi, że dzień świta,
Że południe, że odwieczarz,
Więcej pewno nie docieciesz,
Że się gwiazdki świecą w niebie,
Że szczęśliwa sama z siebie,
Że kwiat rośnie, że wiatr szumi,
Że chłop młóci, kowal kuje,
I że wszystko dobre czuje,
A nic złego nie rozumie.

„Czego ty się śmiejesz, pusta,
Powiedzże mi raz, dziewczyno?”
A ta wpija usta w usta:
„Tak was kocham, matusino!”
I na łonie matce siada;
Rada by się kołysała.
A matusia jej powiada:
„To ty myślisz, żeś ty mała?”

„Matusieńko – prosi Józka –
Jeszcze, jeszcze daj całuska!”

Więc matusia, jakby w tęczę,
W jedynaczkę patrzy swoją;
Ci, co tam przed Bogiem stoją,
Czy szczęśliwsi – nie zaręczę.
Co tam róża, konwalija?
Ona śliczna jak niczyja!
Ale matki uśmiech krótki;
Popatrzyła na te łatki,
I na oczy biednej matki
Napłynęły jakieś smutki.
Koszulina połatana,
Sukieńczyzna z tego spada;
Jej dziewczyna rozgadana,
Ale matka nic nie gada.
„Cóż ja dam ci, co zarobię?
Kto to weźmie?” – myśli sobie...
I milczenie się przedłuża.
Że przedłuża, któż się zdziwi?
Ludzie gonią niepocziwi
Za groszami, a to róża...
Ma ta biedna myśleć dużo!
Czy nie zwiędnie, śliczna różo?

WDOWA

Oj, biednaż ja, biedna wdowa, któż mnie też przytuli?
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecko, luli.
Od chałupy odprawili. „Idźcie z Bogiem” – rzekli,
Łzy mi z oczu wytoczyli, bo świeży chleb piekli.
Oj, nie czują ludzkiej nędzy; bodaj nie poczuli!
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecko, luli.
Boża męka nade drogą. Pan Jezus pod daszkiem,
Ptaszek swoje tam wysiada; bodaj to być ptaszkiem!
Patroncem się poleciała, tej świętej Urszuli;
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecie, luli.
W białym dworze siła gości i gwarno, i ludno,
Chciałam skłonić się jejmości, przedostać się trudno.
Gdzieś mojego tam zabili jak rok na Trzech Króli;
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecko, luli.

CZAJKA

- „O kurzycy prawil grajko,
Ze znosiła złote jajka;
Powiedzże mi, pani czajko,
Czy to bajka, czy nie bajka?
Złote jajka kury niosły,
A na wierzbie gruszki rosły?”
„Okłamali, chłopie, ciebie,
A kurzyca na śmietniku
Jak grzebała, tak i grzebie;
Szczera bajka, mój kuliku.”
- „Powiadała stara Nastka,
Ze chłop sobie w domku kmiecym
Jak u Boga żył za piecem;
Czy to także przypowieść?”
„Gnerowali, jak gnerują,
Biedowali, jak biedują.”
- „Rozповідаł ojciec stary,
Ze był naród jednej wiary,
Ze na drodze, nie na drodze,
Za słóweczko, za podziękę
Pomagała noga nodze,
Umywała ręka rękę;
Ani zwady, ani krzyku,
A grosz zawdy był w kieszeni
Od jesieni do jesieni.”
„Szczera bajka, mój kuliku.”
„Gdy nie było, może będzie;
Na bociany tatuś czeka,
Matka sieje len na grzędzie,
A narzeka, nie narzeka,
A przymawia, a napędza
Na robotę – na robotę;
Ziemia rodzi jajka złote,

A jak nie, to przyjdzie nędza.
Srocza krzyczy na przyciesie,
Kasia piele na zagonie,
A od świtu co dzień drze się,
Że hułany poją konie,
Że się cosik ma na zmianę,
Że się kąty powesela,
Że te zorze malowane
Już świtają, już się bielą
Jak te białe na jeziorze...
Cóż ty na to, czajko mała?
Ale czekajże, niebożę,
Kiedy czajka odleciała!
Szkoda czasu, szkoda krzyku,
Cicho, cicho, mój kuliku.”

OSTATNIE SŁOWO

Strudzony żeglarz do brzegu dopływa
Na kruchej łódce przez burzliwe morze.
Gdzieżeś, o piękna wyobraźnio tkliwa,
Królu mój niegdyś czy pogańskie boże? –
Pobladła szata srebrną barwą lśniąca
Przed prawdy wiecznej surowym obliczem,
A sława, sława, niegdyś tak nęcąca,
Czymże przede mną? – Próżnością i niczem!
Czoło zorane ku ziemi się zniża,
Widomych kształtów czarodziejstwo kona.
O Panie! W Twoje upadam ramiona
I już nie widzę nic, nic – oprócz krzyża...